TYGODNIK ŁÓDZKI
Rok VI.
Łódź, 17. II. 63.
Nr 7 (259)
Cena
1 zł

odgłosy

Noc z 3 na 4 lutego była jedną z najcięższych w całej historii naszego kolejnictwa. Wielka burza śnieżna przeszła nad Polską i pokrywa śniegu na wielu szlakach komunikacyjnych dochodziła do 1,5 metra. Na Śląsku i we Wrocławskiem wysokość zasp śnieżnych dochodziła do 2,3 metra. 64 pociągi pasażerskie i towarowe utknęły na trasach. Tam, gdzie warunki były specjalnie trudne, składy wagonów prowadziły po 3, 4 lokomotywy. Około 40 tys. ludzi — pracowników PKP i wojsko torowało drogę pociągom. Praca bez przerwy przez 48 godzin nie należała do wyjątków.

Śnieg nie tylko blokuje szlaki komunikacyjne, ale również wywołuje bardzo poważne uszkodzenia sprzętu trakcyjnego. Specjalnie czułe są elektrowozy. Śnieg wciska się do pomieszczeń, gdzie znajduje się aparatura i wywołuje zwarcia. Z tego powodu w samej tylko dyrekcji warszawskiej PKP trzeba było wycofać 23 „trójczłony". Ogromne trudności powstały przy formowaniu pociągów. O ile w normalnych warunkach rozrząd wagonów trwa 15—20 minut, to w czasie zawiei 2, 3 godziny, przy 20-stopniowym mrozie!

JÓZEF DUTKIEWICZ

ROMANTYCZNY *czy* POZYTYWISTYCZNY MODEL WYCHOWAWCZY?

Taki, w mym rozumieniu, jest sens polemiki wywołanej książką Zbigniewa Załuskiego — „Siedem polskich grzechów głównych". Historycy winni być wdzięczni Załuskiemu. Odnosi się on do nich z wielkim szacunkiem. Jego polemiczna werwa godzi w popularyzatorów historii, nie niefortunnych pośredników, którzy ulegając modnym tendencjom racjonalistycznej, realistycznej krytyki romantycznych porywów obnażają polskie bohaterstwo nikomu niepotrzebne rzekomo, polską tromtadrację, porywanie się z motyką na słońce, polskie cierpiętnictwo apoteozujące samobójcze wyskoki pozbawione wszelkich szans powodzenia.

Załuski zauważa, iż taki rewizjonizm za wszelką cenę, odbrązowywanie wszystkiego, malowanie naszej przeszłości jako jednego nieprzerwanego pasma błędów, szaleństw, jest złą przysługą wyrządzoną przede wszystkim młodzieży. Uczy ją obojętności na sprawy publiczne, egoizmu, wygodnictwa.

Historycy powinni chyba wstrzymać się od poprawiania drobnych nieścisłości w wywodach Załuskiego*) i wybrać go uroczyście na honorowego członka Polskiego Towarzystwa Historycznego. A jednak... a jednak. „Siedem polskich grzechów głównych" — budzi jakiś sprzeciw, ba nawet pewne poczucie zażenowania. Czy przypadkiem nie niedźwiedzią przysługę nam oddano?

Przede wszystkim sprawa stanu faktycznego. Czy rzeczywiście nasza oficjalna nauka stoi tak bez reszty na pozycji obrony romantycznych koncepcji? Załuski niemal identyfikuje historycyzm z romantyzmem. Problem ten dla mnie wiąże się z zagadnieniem dyskutowanym bardzo namiętnie w czasie dyskusji nad makietą drugiego tomu historii Polski PAN w Sulejówku w 1957 r. (sprawozdanie z dyskusji zob. „Kwartalnik historyczny" 1957 z 4/5) oraz potem na VIII zjeździe historyków polskich w Krakowie, a mianowicie pesymizm czy optymizm? Czy historia pokazująca bez tuszowania błędy może być optymistyczna czy musi być pesymistyczna? Kwestia oceny naszych powstań stanowi bardzo istotny problem w tym zagadnieniu. Oczywiście, historycy starają się pokazywać „obie strony medalu", rozważają aktywa i pasywa.

Dokończenie na str. 2

Fot.: J. Głowacki

KRZYSZTOF POGORZELEC

BIAŁY Front

Jeszcze choć trochę złapać ciepła. Więc — bliżej do kopcącego żelaźniaka. W budce jest duszno i niemal ciemno od tytoniowego dymu. Ale dobrze, bo ciepło. Za deskami wyje zawierucha.

Dźwięk dzwonka. Kilka par ludzkich oczu wbija się w brzęczący aparat.

— Nie można wyciągnąć „pocztowca" z bocznicy...

To znaczy, że dziesiątki paczek, listów, różnych ważnych przesyłek, na które ktoś niecierpliwie czeka, nie może opuścić Łodzi Kaliskiej, nie trafi na czas do adresatów.

A ludzie są już zmęczeni. Ile to godzin bez wytchnienia na nogach? Jeszcze jeden haust dymu, pet leci w stronę piecyka, a oni sięgają po uszanki. Gdzieś na karolewskich torach w zawiei i śniegu czeka ich robota...

Po raz który to z rzędu?

Dyżurni ruchu: Maksajda, Pietrzak, Woźniak

Dalszy ciąg na str. 5

MAREK WAWRZKIEWICZ

W sprawie OPERY *list otwarty* do Zygmunta LATOSZEWSKIEGO

Pozwalam sobie, Panie Dyrektorze, w ten sposób kontynuować naszą rozmowę, ograniczając ją do monologu i tusząc, że monolog ten nie tylko Pan przeczyta, bo ważne jest przecież zainteresowanie sprawami Opery szerszych mas społeczeństwa. Jest to tym bardziej ważne, że termin w który — dałem już temu wyraz — nie bardzo wierzę, oddania Operze Łódzkiej budowanego gmachu Teatru Narodowego jest już niezbyt odległy. Nim jednak przystąpię do omówienia ostatnich operowych premier na tle uwag Pana o rozwoju zespołu, o planach na przyszłość, muszę się ubezpieczyć. Doświadczenie recenzenckie nauczyło mnie bowiem, że ludzie teatru, a szczególnie opery są ogromnie wrażliwi na coś, co trochę irracjonalnie nazywają „życzliwością". Niniejszym więc ubezpieczam się, deklarując pełną życzliwość. Wybaczy mi pan również — jak sądzę — drobne omyłki, bo nie ja przecież pracuję w teatrze operowym lat trzydzieści kilka. Rezerwuję za to sobie obiektywność sądu, którego Pan — jako człowiek najżywiej w sprawach opery zainteresowany — może nie mieć.

Jest faktem na pewno bardzo radosnym, że rok ostatni zapoczątkował w Operze zwrot do kierunku, za którym krytykując czy chwaląc operę tęsknimy — w kierunku teatru muzycznego. O tym w dużej mierze decyduje repertuar. I dlatego najskwapliwiej zapisywałem wśród takich wielkich oper jak „Bal maskowy" Verdiego, „Don Juan" Mozarta, dzieł Moniuszki, Pucciniego — pozycje współczesnego repertuaru — „Carmina Burana" Orffa, „Petruszkę" Strawińskiego, czy przewidzianą na otwarcie Teatru Narodowego którąś z powstających aktualnie polskich oper. Teatr muzyczny to na pewno również muzyczne ukonstytuowanie całego zespołu, to powiększony zespół chóru, nareszcie własna orkiestra, nowi soliści, których talenty wysoko sobie cenimy. Teatr muzyczny to także — i kto wie czy nie przede wszystkim — przyzwyczajenie zespołu do innego stylu pracy, stylu cechującego się wiernością wobec dzieła, nad którym się pracuje, precyzją wykonawczą, szacunkiem dla muzyki i słowa. Teatr muzyczny, teatr bliższy współczesnemu widzowi niż klasyczne formy spektaklu operowego, to również atrakcyjność i bogactwo repertuaru. I tych dążeń nie sposób nie zauważyć. Opera Łódzka nie miała jeszcze okresu w którym grałaby jednocześnie pięć programów składających się z ośmiu oper i baletów. To pierwsze bardzo poważne osiągnięcie, bijemy z radością brawa. Świetnie śpiewające chóry, których partie z różnych względów stanowią dla mnie największą atrakcję, wymagały na pewno wielu miesięcy pracy. Dobrze, „symfonicznie" brzmiąca, choć tak młoda jeszcze orkiestra, również nie powstała na skutek paru skinięć dyrygenckiej batutą. Ogólny poziom widowiska operowego składający się z wielu czynników jest z całą pewnością wyższy niż kiedykolwiek. Sądzę, Panie Dyrektorze, że stały widz operowy musi w tym wszystkim widzieć rezultaty prawdziwej, pełnej poświęcenia pracy kierownictwa naszej Opery. Że zaś dobry przykład idzie z góry — łatwo zrozumieć taką atmosferę pracy w zespole, która pozwala spodziewać się w najbliższych sezonach wielu osiągnięć artystycznych. Zanim jednak zaczniemy porównywać Operę Łódzką z Bałtycką czy Warszawską musimy zatrzymać się nad

Dokończenie na str. 7

EMERYTURA dla „zasłużonych"

Ten przypadkowo odnaleziony w archiwach II wojny światowej, na pozór niewinny raport jakiegoś niemieckiego dowódcy kolumny transportowej sprzed lat przeszło dwudziestu, zwrócił na siebie uwagę tylko dzięki pieczątce „Ściśle tajne!" i „Wagi Państwowej!". Treść raportu była nic nie znacząca: *„Od grudnia 1951 roku moje trzy samochody ciężarowe dokonały przewozu i obróbki 97 tysięcy"*. Raport nic więcej nie wyjaśniał. O jakie przewozy tu chodziło? I co to była za „obróbką 97 tysięcy"? Te, zdawałoby się, niezręczne sformułowania stylistyczne, mogły zresztą dotyczyć transportu przyfrontowego, albo jakichś innych przewozów, np. dla organizacji TODT. Lecz dlaczego meldunek opatrzono pieczątką „ściśle tajne!"? I dlaczego w początku 1942 roku zawędrował on aż do rąk SS Obersturmbahnfuhrera Rauffa — bo nosił i jego stempel i jego parafę. Zresztą o tej szczególnej postaci z himmlerowskiego biura bezpieczeństwa Rzeszy również do niedawna wiedziano mało: archiwum służbowe Rauffa zaginęło, a może sam je zniszczył w ostatnich dniach wojny? Los Rauffa był też niejasny: zniknął jak wielu mu podobnych, bez śladu: zginął? Ukrył się? A może po prostu umarł naturalną śmiercią pod jakimś przybranym nazwiskiem?

A więc same niewiadome. Jeszcze jedna z ciemnych spraw wojny, niewyjaśnionych i zagadkowych.

Ale oto dość nieoczekiwanie zaczął sypać w ostatnich miesiącach niejaki Friedrich Pradek, były major policji i dawny podwładny Rauffa, oskarżony o ludobójstwo i czekający w więzieniu w Hanowerze na swój proces. Z jego zeznań, sprawdzonych w oparciu o dalsze, odkrywane w archiwach dokumenty, wynika iż SS-gruppenleiter Rauff, kierownik oddziału II D w Biurze Bezpieczeństwa Rzeszy organizował bardzo szczególny transport: ciężkie samochody, takie jakich używa się do transportu mebli, po drobnych adaptacjach polegających głównie na uszczelnieniu komór ładunkowych i doprowadzeniu rur wydechowych do wnętrza tych komór, a także na oznaczeniu wozu wielkim znakiem Czerwonego Krzyża — stawały się groźnym konkurentem krematoriów. Rauff pilnował ich właściwej eksploatacji, wprowadzał usprawnienia techniczne, domagał się coraz lepszych wyników: rezultat 97 tys. zagazowanych w grudniu roku 1941 nie zadowalał go. Pradek przyznaje, że później osiągnięto lepsze rezultaty. A wszystko dzięki Rauffowi.

A więc jeszcze jeden, ujawniony po latach, wielki szef hitlerowskiej bandy ludobójców. Jaka była jego kariera? Zaczęto ją badać. Rauff do roku 1937 służył w marynarce wojennej, później jednak stał się bohaterem jakiejś skandalicznej afery i pod zarzutem nieobyczajności zmuszony był zrzucić mundur. Wkrótce jednak zwąchał się ze swym dawnym przyjacielem Heydrichem i wszedł do służby bezpieczeństwa Rzeszy. Po wybuchu wojny na krótko wrócił do marynarki wojennej, ale już w kwietniu 1941 roku powierzono mu organizację osławionych samochodów komór-gazowych. Misję tę przyjął bez wahania i pełnił ją niemal do końca wojny, nadzorując swe „kolumny transportowe" we wszystkich okupowanych krajach Europy. We Włoszech zaskoczyła go inwazja, tam też dostał się do niewoli, ale zbiegł z niej przy pierwszej okazji. I wkrótce wypłynął w Syrii jako doradca wojskowy osławionego pułkownika Sziszakli. Lecz Syria nie dawała mu należytej rękojmi bezpieczeństwa, zniknął więc i stamtąd, tym razem, jak się zdawało, bez śladu i na zawsze.

Przy znanej gorliwości władz NRF w ściganiu zbrodniarzy wojennych, uznano by chyba Rauffa spokojnie za zaginionego i cała sprawa poszłaby ad acta, gdyby u schyłku 1962 roku do wydziału finansowego w Düsseldorfie nie wpłynęło aż z Chile dość dziwne podanie. Oto były kapitan marynarki wojennej Herman Rauff występował o należną mu emeryturę. Zapanowała konsternacja, bo niedawno przecież wyszły na jaw fakty dotyczące samochodowych komór gazowych — i tak oto, trochę w rezultacie pechowego dla siebie zbiegu okoliczności, a trochę dzięki wyjątkowemu tupetowi, cyniczny morderca Rauff, znalazł się w kłopotliwej sytuacji: prokuratura NRF zażądała od Chile jego wydania.

Lecz mimo wszystko Herman Rauff jest ponoć dobrej myśli: bo po pierwsze, takie żądania bywają zazwyczaj tylko formalnością i władze NRF nie nalegają na istotne wydanie zbrodniarzy. A po wtóre, chilijskie prawo karne przewiduje, że zbrodnia morderstwa ulega po latach piętnastu przedawnieniu.

Więc kto wie, czy sprawa nie zakończy się pomyślnie dla pana Rauffa? A może będzie i emeryturka?

W. B.

(na podstawie „Der Spiegel")

Gaswagen-Chef Rauff

Emeryt Rauff

Fahrbare Gaskammer

„Przewóz 97.000..."

Dalszy ciąg ze str. 1

przede wszystkim zaś nie tyle ferują oceny co pokazują przyczyny, warunki, okoliczności. Sąd historyków jest spokojniejszy, nie bywa apodyktyczny. Taka ostrość sądu równa się przeważnie uproszczeniu. Kwalifikacja czarno-biała była u nas przedmiotem żywej dyskusji metodologicznej. Uznana została za pewną formę spłycenia historycznych kwalifikacji,

Załuski ma niewątpliwie rację, gdy przypomina, że z nauki historii muszą płynąć hasła przewagi interesu publicznego nad prywatnym. Dlatego to identyfikuje potwarców naszej przeszłości z postawą filisterską. Ale czy akceptowanie wszelkich haseł romantycznych jest warunkiem wychowawczego oddziaływania historii? Od razu stwierdzę, że na dyzjunkcję postawioną w tytule tego artykułu odpowiadam: to nie jest alternatywa wykluczająca się. Wydaje mi się, że z artykułu prof. Leśnodorskiego można wysnuć podobny wniosek. Ani wychowanie ultraromantyczne ani wychowanie ultrapozytywistyczne nie spełni swego zadania. Bierzmy z romantycznych tradycji to co cenne, ale nie kopiujmy wszystkiego, wszystkich ekstrawagancji, konserwatywnych tendencji w romantyźmie. Sam Załuski ustosunkowuje się bardzo krytycznie do mesjanizmu, zjawiska przecież typowo romantycznego. Ustosunkowuje się tak bardzo negatywnie, że aż ochota bierze nieco popolemizować Oczywiście, teza o narodzie wybranym słusznie jest skrytykowana. Ale czy romantycy istotnie „szczęście nasze — widzieli — w cierpieniu"? Mickiewicz nie kazał ani Polsce ani Polakom umierać, on tylko dowodził, że krew nie była na darmo przelana, nie była bezowocną rzezią. Jeśli dziś historyk na emigracji na serio bierze tezę, że Polska była Winkelriedem narodów, jest mu to potrzebne dla aktualnych politycznych celów.

Załuski widzi trzy źródła krytycznej postawy w stosunku do romantycznych szaleństw: 1. tradycje kołtuństwa, 2. bankructwo sanacji ideologicznie związanej z romantycznymi hasłami, 3. pacyfizm wywodzący się z „płytkiego humanizmu" okresu dwudziestolecia. Prof. Leśnodorski słusznie zaprotestował przeciw tej deprecjacji pacyfizmu liberalnego lat dwudziestych i trzydziestych. Mnie się wydaje, że Załuski nie dostrzegł jeszcze jednego źródła a może nawet dwu, mianowicie — powstania warszawskiego i ogólnej tendencji do racjonalizacji życia. Załuski wiele pisze o powstaniu warszawskim ale nie umieszcza go w indeksie naszych grzechów i opuszcza w tym kontekście. Sprawa neopozytywizmu jest poważniejsza. Gospodarka planowa, która zastąpiła przedwojenny chaos, ma racjonalistyczne przesłanki. Racjonalistyczną jest filozofia materialistyczna, stąd zrozumiała awersja do romantyzmu. Jeśli chodzi o historyków, to przygotowując się do obchodów Wiosny Ludów faktycznie w 1948 zajęli już nieco inną pozycję. W dyskusjach naukowych związanych z Rokiem Mickiewicza dostrzeżono dwa oblicza romantyzmu, jedno reaktywizujące średniowiecze, drugie poruszające masy do ruchów rewolucyjnych. Historiografia romantyczna dostrzegała nie tylko herosów w historii lecz właśnie lud, klasy. Mniemam, że wołanie o realną politykę jest wynikiem tego zasadniczego nurtu racjonalizacji. Prowadzi to czasem do zgoła absurdalnych ocen (porównaj Z. Maresch, „Lelewel a nasze wychowanie polityczne" Zeszyty naukowe Uniwersytetu Wrocławskiego, sekcja pedagogiczna 1960 zob. rec. Kwart. hist. 1961 z 4).

Ocena romantyzmu wiąże się z oceną naszych powstań. Uważano je za ruchy typowo romantyczne. Najostrzejszą krytykę powstań przeprowadziła szkoła krakowska z pozycji pozytywistycznych i reakcyjnych. W okresie międzywojennym krytykę nonsensowności powstań głosiły organy „narodowe", prawicowe. Teoretyczną przesłanką były tezy Dmowskiego o potrzebie polityki „realnej". W pierwszych latach Polski Ludowej na skutek kompromitacji idei powstańczej w powstaniu warszawskim, pojawiło się także szereg głosów domagających się krytycznej oceny powstań. Bardzo szybko jednak przyszło otrzeźwienie. Dostrzeżono, że tradycji przyjaźni polsko-radzieckiej można szukać jedynie w kontaktach naszych spiskowców z rewolucyjnym ruchem rosyjskim. Przypomniano wysoką ocenę naszych powstań przez klasyków marksizmu. W podręczniku historii Polski PAN z tych ostrych i niesprawiedliwych sądów pozostał jedynie zbyt surowy sąd o konfederatach barskich. W dyskusjach komisji naukowych Roku Mickiewicza dogadano się, że powstanie listopadowe nie było tak szlacheckim i tak reakcyjnym, jakim wydawało się w 1945 czy w 1946 roku. Gdyby dziś u władzy byli stańczycy lub narodowa demokracja nie urządzano by obchodów na cześć powstania styczniowego. Dostrzegamy dziś lepiej związek sprawy polskiej w XIX w. z narastającym ruchem robotniczym i ruchem rewolucyjnym w ogóle.

Na zakończenie parę słów o romantycznym i pozytywistycznym ideale wychowawczym. Oczywiście zdajemy sobie sprawę, że ideał wychowania w okresie romantyzmu i ideał wychowania w okresie pozytywizmu to są rzeczy nieco różne niż to, o czym mówimy dziś, że jest romantycznym modelem czy pozytywistycznym. Ujemne strony pozytywistycznych haseł pracy organicznej, rozumianych zwłaszcza wulgarnie, jako hasła bogacenia się, nie wymagają bliższej krytyki. Hasło politechnizacji predysponuje pozornie samo przez się opowiedzenie się za pozytywistycznym modelem wychowawczym. Istnieje przecież pewne ale. Nasza reforma szkolna zakłada pewien patos walki o przyszłość, włączenia się w przemiany dokonujące się u nas i gdzie indziej. Wracamy w ekonomii, do pojęcia zysku przedsiębiorstwa, ale jesteśmy bardzo dalecy od zysku osobistego właściciela, co było podstawą gospodarczej działalności okresu pozytywizmu. Wiemy, że każde nowe pokolenie musi wchodzić w życie z coraz większym zasobem wiedzy, ale też zdajemy sobie coraz lepiej sprawę, że szkoła, nawet wyższa, która tylko uczy, a nie wychowuje, źle spełnia swe zadanie. Zaś wychowywać to znaczy oddziaływać nie tylko na intelekt, lecz także na charakter i uczucie. To ostatnie wiąże się nam z romantycznym podejściem do rzeczywistości.

Może innym razem zastanowię się, czy katalog naszych grzechów został przez Załuskiego sporządzony trafnie.

JÓZEF DUTKIEWICZ

ROMANTYCZNY *czy* POZYTYWISTYCZNY MODEL WYCHOWAWCZY?

*) Jak to zrobił częściowo w swym głosie w dyskusji prof. Leśnodorski („Polityka" 23 stycznia br.). Osobiście sprostowałbym też, że wąwóz Somosierra nie był tak skalisty jak widzimy na obrazie Suchodolskiego „urwiste skalne ściany" (str. 36). Powstanie styczniowe najpotrzebniejsze i najowocniejsze" (str. 150). Pierwszy fakt należy do rzędu szczegółów powiedziałbym drugorzędnych, aby poprawić proszę przeczytać „Wspomnienia" W. Kossaka. Drugi to kwestia ogólnej oceny superlatywnej, historycy nie lubią superlatywów, zwłaszcza gdy dotycza ruchu, który jednak zakończył się klęską. Nie znaczy to oczywiście, by powstanie styczniowe nie miało pozytywnych skutków.

EWA SIEMIŃSKA

Nowe sprawy sztuki filmowej

CZY FILM TORUJE DROGĘ LITERATURZE?

„Chleba i igrzysk!" — domagały się, krzycząc, tłumy starożytnych. Igrzysk nie ma już od stuleci. Ale istnieje wciąż potrzeba masowej rozrywki. Zaspokajanie jej stało się sprawą dzisiejszych mass medium (środków masowych). Naczelną pozycję zajęły wśród nich literatura i film. Oczywiście jest to tylko jedna strona przysłowiowego medalu. Drugą stanowi Sztuka — ta przez duże S.

Zmieniła się też publiczność. Nie musi się już, jak dawniej, d o m a g a ć. Może tylko mniej lub bardziej trafnie w y b i e r a ć. Może — co najwyżej — kręcić nosem, wyłączać telewizor, a jeśli niecierpliwość jest w niej mocniejsza niż przywiązanie do savoir-vivre'u — wychodzić w środku seansu. Czasem nawet może się słusznie cieszyć, że miała co wybrać i dobrze wybrała.

„Człowiek współczesny stoi w obliczu dwóch rzeczywistości: rzeczywistości własnej, prywatnej (...) i rzeczywistości zbiorowej, uniwersalnej, kosmicznej, która objawia mu się poprzez potężne kanały komunikacji, która go przytłacza i zmienia jego zachowanie. (...) Bombardowanie impulsami, agresja, najście, inwazja (...) Człowiek dzisiejszy stał się (...)przedmiotem uporczywego i nieustannie potężniejącego ataku świata obrazów, (...) przede wszystkim zaś obrazów ruchomych, obrazów filmowych i telewizyjnych, odzwierciedlających w sposób niemal magiczny trójwymiarowe życie świata". („Człowiek w niebezpieczeństwie". „Odgłosy" 1962, nr 40).

Sądy te stają się oczywiste w oparciu o dane statystyczne i nie budzą zasadniczych kontrowersji. Nie ma natomiast mowy o jednolitej ocenie w przypadku literatury.

„Jest zatem ruch artystyczny. Są filmy, rzeźby i obrazy, jest teatr, muzyka, kabaret artystyczny i literatura. Nie, właśnie nie ma literatury. Literatura wlecze się w ogonie ruchu, chociaż od niej to właśnie wszystko się kiedyś zaczęło, chociaż teoretycznie ona to znajduje się w centrum uwagi i jest przedmiotem największych ambicji. Tymczasem stała się bladym odbiciem tego, co dzieje się w innych dziedzinach sztuk" (str. 166). „Mówiąc „literatura", coraz mniej wiemy, o czym mówimy i coraz trudniej nam się porozumieć". (str. 39. "Nie można odwrócić procesu, który jest naturalny, zgodny z rozwojem techniki

mieszanka FILMOWA

życia — po prostu te formy literackie zastępują dawne: piosenka wypiera wiersz, kabaret wypiera teatr, skecz, widowisko, słuchowisko, filmy wypierają powieść. Żadna siła nie wstrzyma tego procesu" (str. 98) (Andrzej Kijowski: Miniatury krytyczne. PIW, Warszawa 1961).

Jaka jest więc istota wzajemnego oddziaływania sztuki literackiej i ekranowej? Spróbujmy odpowiedzieć na to pytanie w oparciu o konkretny przypadek w s p ó ł c z e s n e j kultury polskiej. Akcent na słowie „współczesnej" położony jest celowo. Bo w ujęciu historycznym rzecz jest względnie prosta i jednoznaczna: to właśnie literatura uczyła film, jak ma się stawać sztuką. Użyczyła mu praw budowy dramaturgii, sposobów prowadzenia narracji, chwytów stylistycznych. Film wchłaniał je w siebie, przyswajał, przetwarzał. Okazał się bardzo pojętnym uczniem. I tak już Griffith szukał klucza strukturalnego swych filmów u Dickensa (np. prowadzenie dwutorowej akcji, odsiecz w ostatniej chwili). W oparciu o współczesną powieść zrodziła się przecież nowa budowa czasu akcji dzisiejszego filmu psychologicznego czy teoria camery-stylo „nowej fali" francuskiej. Przyszedł też okres, w którym film stał się wobec literatury pasożytem: żerował na niej w swym nurcie ciasnych, nastawionych tylko na dochodowość adaptacji. Głośne tytuły, znane nazwiska literatów zapewnić miały owym filmom jak największe zyski. Taki był los wszystkich siedmiu adaptacji z Żeromskiego, dokonywanych w latach międzywojennych. Były tendencyjne i dowolne w sposób kompromitujący. Niczym przysłowiowa kura, literatura zaczęła znosić złote jajka. Aż w pewnym momencie okazało się, że jajko usiłuje czasem stać się mądrzejsze od kury. Ale to już sprawa nowszych czasów. Jak więc jest teraz?

W okresie powojennym powstało w Polsce do chwili obecnej 167 filmów fabularnych. Nurt adaptacyjny objął wśród nich 75 pozycji. Z tego 56 filmów szukało pierwowzorów w bieżącej literaturze współczesnej, a tylko 19 zwracało się do dzieł autorów nie żyjących, a więc niejako „klasycznych". Jest to zresztą „klasyka" różnej, nierównej miary artystycznej. Sięgał np. nasz film powojenny do Prusa, Sienkiewicza, Fredry, Korczaka, Zoli, Domańskiej, Żuławskiego, Makuszyńskiego czy Sewera-Maciejowskiego. Bardzo szeroki jest wachlarz nazwisk autorów przenoszonych na ekran „na gorąco". Jest wśród nich Dygat, Andrzejewski, Brandys, Iwaszkiewicz, Breza, Zawieyski, Stawiński, Ścibor-Rylski, Wiech, Putrament, Hen, Czeszko, Newerly, Gerhard, Hłasko, czy Centkiewiczowie. Nawet pobieżny przegląd nazwisk i tytułów pozwala zorientować się, że wybór był tu całkowicie przypadkowy. Nie istniała żadna linia programowego postępowania. Nie było mowy o stosowaniu selekcji opartej o jednolite kryteria wartościujące. W gruncie rzeczy wyboru dokonywał reżyser, kierując się własnymi upodobaniami, lub intuicją obliczoną na popularność przyszłego filmu. Niezależnie jednak od pobudek, które decydowały o wyborze na pierwowzór takiego czy innego utworu literackiego, jeden fakt dokonywał się zawsze z chwilą wejścia na ekran filmowej wersji dzieła: jego społeczna nobilitacja. Bo filmy kosztują miliony, przynoszą miliony i przeznaczone są dla milionów. Toteż każdorazowa adaptacja jest zarazem patentem na popularność. Ileż to ludzi chodzi u nas jeszcze „do kina"! Dla nich wybór filmu jest rzeczą wtórną. I w tym sensie można by mówić, że to właśnie film wybiera widza, a nie przeciwnie. Paradoks niemożliwy w literaturze. W ten sposób film stał się olbrzymią i potężną dziedziną recepcji piśmiennictwa beletrystycznego. Czasem ta wtórna popularność utworu obleczonego w kształty ekranowe jest tylko potwierdzeniem popularności osiągniętej na gruncie literackim. Tak będzie w przypadku „Krzyżaków", „Matki Joanny od Aniołów", „Spóźnionych przechodni", „Popiołu i diamentu" czy wszystkich trzech adaptacji z Makuszyńskiego. Znacznie częściej jednakże dopiero film toruje dziełu literackiemu drogę do milionowego odbiorcy. Nierzadko spotykamy się tu z faktem przyswajania sobie tekstu literackiego po obejrzeniu jego wersji ekranowej. Dotyczy to zwłaszcza młodzieżowej części publiczności kinowej. Ten sam problem: torowania drogi literaturze przez film w dziedzinie odbioru — stawania się własnością milionów, przybiera odmienną trochę postać w odniesieniu do odbiorcy zagranicznego. Tu film jest niewątpliwie pionierem torującym drogę naszej literaturze do niepolskiej publiczności. Nie jest to wprawdzie bezwzględną regułą — Sienkiewicz popularny był już dawno poza naszymi granicami. Jednak w zdecydowanej większości wypadków ta pionierska rola filmu wobec naszej literatury jest faktem rzeczywistym i oczywistym. Znacznie więcej krajów ogląda przecież polskie filmy niż posiada przekłady ich literackich pierwowzorów. Ekranowa postać będzie więc niejednokrotnie jedyną dostępną drogą poznawania dzieł naszych pisarzy. Czasem taki film przynosi wtórnie popularność dokonanym już lub dokonywanym przekładom. Tak było w ubiegłym roku z „Popiołem i diamentem" w Niemczech i Włoszech, z „Łunami w Bieszczadach" w Czechosłowacji czy „Królem Maciusiem I" w Jugosławii (1960). W ten sposób film pełni rolę ambasadora literatury polskiej za granicą.

Tak więc z biegiem lat film wyszlachetniał. Przestał być pasożytem. Adaptacje stały się formą jego symbiozy z literaturą. Forma ta posiada wielce zróżnicowaną skalę wartości artystycznych. Są wśród niej przynoszące zaszczyt, czołowe dzieła naszej powojennej kinematografii: „Popiół i diament", „Eroica", „Kanał", „Zezowate szczęście" i najnowszy nasz film „Jak być kochaną". Ale jest też „Lotna", „Samson", „Krzyżacy" czy „Zadzwońcie do mojej żony". Dokonanie adaptacji nie jest rzeczą łatwą. Każdy rok w kinematografii upewnia nas coraz bardziej, że nie ma w literaturze sytuacji, spraw, których nie można przekazać z ekranu. Niemałym atutem może tu być film „Jak być kochaną", przenoszący w filmie bardzo skomplikowaną formę narracyjną (narracja w narracji, różne układy monologu wewnętrznego i dialogów wewnątrz narracji) i misterny układ czasowy. Cały ten film jest przecież niemal wyłącznie wewnętrznym monologiem bohaterki — pani Felicji. Film ten nie tylko nie zatracił nic z głębi psychologicznej noweli, ale zachowując ją w sposób precyzyjny, doskonały artystycznie, przemówił do widza w sposób bardziej bezpośredni i wyrazisty. Wcielając się w obraz autentycznych ludzi na ekranie, stał się cieplejszy i bardziej bliski. Film — monolog wewnętrzny zdał egzamin na celująco.

Cała trudność adaptacji kryje się w braku bezpośredniej przekładalności tekstu na język filmu. Jeśli adaptacja jest jedynie ruchomą ilustracją dzieła literackiego, powstaje film w rodzaju „Krzyżaków". Nawet jeśli to będzie piękna ilustracja — film nie może nas zadowolić. Jest to bowiem pójście po najmniejszej linii oporu. Trudna i niedobra sytuacja powstaje i wówczas, gdy realizatorzy przekładają wprawdzie twórczo tekst literacki na nową, obrazowo-dźwiękową sztukę filmową, lecz zmieniają równocześnie atmosferę utworu i właściwą mu dramaturgię.

Samotnym reprezentantem trzeciego nurtu torowania literaturze drogi przez film jest u nas Tadeusz Konwicki. Zachodzi tu ten szczególny przypadek, w którym pisarz nie tylko tworzy scenariusz filmowy, ale realizuje go w kształcie filmowym jako reżyser. Powstały w ten sposób dwa filmy: „Ostatni dzień lata" i „Zadusz ki".

Ogólnie biorąc, wśród 167 polskich powojennych filmów fabularnych 139 pozostaje w symbiozie z literaturą. Cyfra ta jest większa niżby się na pierwszy rzut oka wydawało. Nie można jej lekceważyć. Jest to najlepsza miara prężności tego nurtu filmowego, nurtu, który śmiało możemy nazwać literackim.

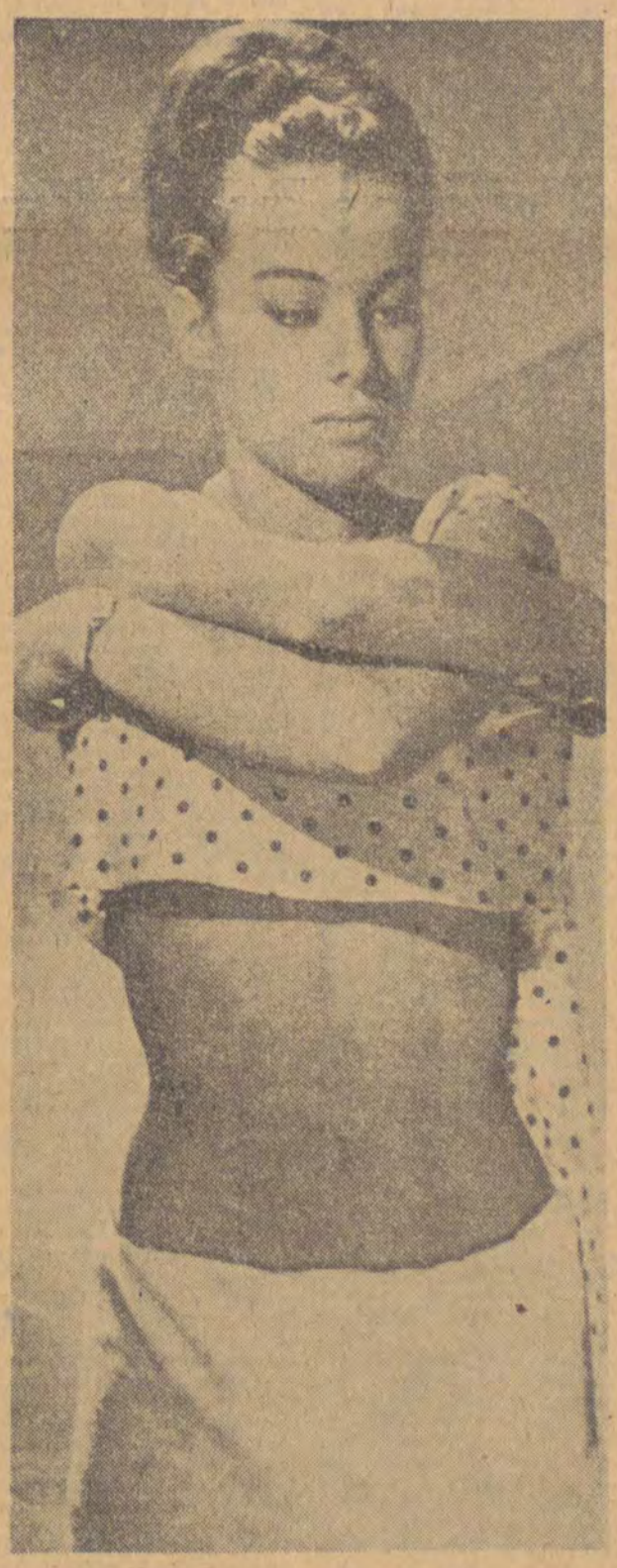

Nowa młoda aktorka francuska — Katherine Diamant.

EKRANIK

❖ Dziennik włoski „Unità" opublikował artykuł Sartre'a o „Dziecku wojny", w którym świetny pisarz polemizuje z pewnymi ocenami filmowej krytyki zagranicznej o dziele Andreja Tarkowskiego. Sartre podkreśla narodowy charakter filmu i jego głęboką wymowę humanistyczną.

* * *

❖ Luchino Visconti ukończył realizację „Lamparta". W filmie tym wystąpili Burt Lancaster, Alain Delon, Paolo Stoppa, Claudia Cardinale. Film zapowiada większą sensację niż przed kilkoma laty „Zmysły" — pierwszy historyczno-kostiumowy film Viscontiego.

* * *

❖ Amerykański producent David Wolper realizować ma w Hollywood pełnometrażowy film dokumentalny pt. „Marilyn", na który składać się będą fragmenty z kronik filmowych i telewizyjnych, fotografie prywatne oraz epizody filmów fabularnych z nieodżałowaną Marilyn Monroe. Wytwórnia „Centfox" przygotowuje inny film pt. „Świat Marilyn Monroe", który ukaże błyskotliwą karierę popularnej aktorki. W filmie tym wykorzysta się sceny z niedokończonego przez Marilyn Monroe filmu „Mężczyzna, który do mnie należy". Ponadto inny producent Art Libermann zapowiada realizację średniometrażowego filmu o M. M. — „Historia Marilyn Monroe".

* * *

❖ W filmie reż. Zanucka „Najdłuższy dzień", o inwazji na Normandię nie bierze udziału żaden Murzyn, chociaż wielu z nich brało udział w ataku na słynny Wał Atlantycki. Murzyni pikietują więc wiele kin w Stanach Zjednoczonych, aby zwrócić uwagę na tę jawną dyskryminację. Zanuck przyrzekł, że powróci w jednym ze swoich filmów do tego tematu, aby dać satysfakcję amerykańskim Murzynom.

* * *

❖ Algierczycy uruchamiają stopniowo kina, które po opuszczeniu kraju przez ich byłych właścicieli Francuzów, były zamknięte. Jednocześnie przystąpiono do otwierania nowych kin. Największa firma dystrybucyjna „Comtoire Cinematographique Algérien", której kierownictwo objęli Algierczycy, wznowiła swą działalność. W rozpowszechnianiu znajdują się w dużej ilości filmy indyjskie i egipskie, które są bardzo popularne w Algierii. Z krajów europejskich najwięcej wyświetla się filmów włoskich.

* * *

❖ Po ukończeniu filmu o Andrzeju Rublowie reż. Tarkowski zamierza przystąpić do realizacji nowego filmu fabularnego „Myśle o lutym", który będzie dotyczył spraw ludzkiej znieczulicy, braku zainteresowania sprawami bliźnich.

* * *

❖ W „Mosfilmie" rozpoczęły się zdjęcia do dwuseryjnego filmu „Żywi i umarli" według powieści Konstantego Simonowa. Reżyserem i autorem scenariusza jest A. Stolper, który zrealizował już trzy filmy według utworów Simonowa: „Chłopiec z naszego miasta", „Dni i noce", oraz „Czekaj na mnie". Konsultantami filmu są wyżsi oficerowie Armii Radzieckiej.

* * *

❖ W komedii francuskiej, którą reżyseruje debiutujący Jacques Poitrenaud — „Strip tease" obok Dany Saval, Darry Cowla grą Jan Sobieski, młody, nowo odkryty aktor francuski.

* * *

❖ Twórca „Hiroszimy" reż. Alain Resnais kończy realizację filmu „Muriel" z udziałem gwiazdy „Marienbadu" Delphine Seyring. Jest to historia dwu starszych małżeństw, które próbują odbudować swe szczęście widząc kochającą się młodą parę.

* * *

❖ Pierre Cast, jeden z założycieli „Cahiers du Cinema" kręci film pt. „Manowce" z udziałem Francoise Arnoul, Daniela Gelin, Michela Auclaira i innych.

* * *

❖ Znany włoski reżyser Pietro Germi, po ubiegłorocznym sukcesie „Rozwodu po włosku", który ujrzymy w Łodzi na Festiwalu Festiwali Filmowych — przygotowuje następny film „Czas obojętności". Główną rolę obejmie prawdopodobnie aktorka amerykańska Shelley Winters.

* * *

❖ Znana u nas z licznych włoskich filmów Giovanna Ralli wzięła udział w ekranizacji sztuki Luigi Pirandella „Liola", w której wystąpiła obok popularnego komika włoskiego Ugo Tagnazzi.

A. N.

WANDA KARCZEWSKA

Szkice amerykańskie (XI)

CZARNI i BIALI

To jest, jak stąpanie po śliskim, grząskim gruncie, nie dającym stopie oparcia, albo jak chwytanie w rękę bezkształtnej magmy, płynnej i przelewającej się, ile razy chcesz to ująć w rękę i przyjrzeć się temu bliżej; magma — przykra w dotyku. Zanurzam się w nią niechętnie, ale trudno, musimy po drodze wdepnąć w ten temat; skoro się mówi o wszystkim, co się tam widziało, nie sposób pominąć tego: kwestii murzyńskiej.

My też mamy taki swój temat; bolesny, wstydliwy. O, i jak my bardzo nie lubimy, gdy ktoś obcy miesza się nam do niego, wywleka go na światło dzienne. Najchętniej pogrzebalibyśmy go całkiem; właściwie to on się sam pogrzebał; rękami hitlerowców; w Treblince. Wiecie już, co za temat: kwestia żydowska. Im mniej ktoś z nas jest winien — tym więcej się wstydzi. Za tę całą resztę — która się nigdy nie wstydziła. Ale do rzeczy. Oni się też wstydzą tego swojego przykrego tematu. No, przynajmniej niektórzy z nich. Nie sądźcie, że wszyscy stoją pod bramą uniwersytetu Oxford w Missisipi i wyją na widok pierwszego czarnego studenta, który chce zasiąść na jednej ławie ze studentami białymi.

Ale zaczynajmy. Czarni i biali. Jak się do tego zabrać, z której strony podejść, żeby powiedzieć mniej więcej wszystko i aby sprawiedliwych nie urazić. Delikatnisie jesteśmy, prawda? Ale to w imię koegzystencji.

Więc niechże raz jeszcze będzie to jezioro, w cieniu ostro pachnącego nabrzeżnego buszu, jezioro tak intensywnie błękitne, że aż irytujące w swojej banalności, ale za to rozemglone w południe, jezioro Deway w stanie Michigan, wiecie, to z różowymi bungalowami milionerów po tamtej, przeciwnej stronie, a z drewnianymi domkami kampingowymi po naszej stronie. Jezioro BIAŁYCH ludzi, sylwetek BIAŁYCH, jeżdżących w lodowato śnieżnych skosach pian na wodnych nartach, ramion BIAŁYCH rozcinających wodę, postaci BIAŁYCH, leżących na żółtych plastykowych pomostach, tratwach i na różowo - rdzawym piasku.

I nagle któregoś dnia — następuje w pejzażu zmiana, jakby ktoś w ten słoneczny, wylakierowany obrazek chlapnął niespokojną ciemną farbą. Wysoko, jakby zawieszona w próżni, na granicy wody i powietrza pojawia się łódź z CZARNYMI. Dwie figurki z bardzo ciemnego hebanu, w szpiczastych, słomkowych kapeluszach, pojawiły się daleko na jeziorze, wypłynęły wolno na środek i tam się zatrzymały. Łódź z CZARNYMI stała długo, uporczywie w jednym miejscu, nieznacznie tylko znoszona dennym prądem, łyskając błyszczykiem lub złowioną przez czarnych chłopców rybą.

Patrzyliśmy na nich, my BIALI, od godziny, nie widząc ich. Ich pojawienie się nie wywołało żadnych uwag, żadnych rozmów, jak coś, do czego się przyzwyczajono, albo... co się umownie i wymownie przemilcza; nie wiem, może zawodzi mnie intuicja, zresztą każdy kraj broni się przed inwazją ciekawości cudzoziemca, niechętnie odsłania swoje wstydliwe miejsca, bolesne sprawy; on, ten kraj, może raczej zasłania tę sprawę, na pewno, bo potem kiedyś spostrzegę, że to skrzętne milczenie o CZARNYCH jest w istocie rodzajem zasłony przed moją drażniącą ich ciekawością, zasłony zapuszczanej na uczucia niechęci, gniewu, nienawiści, dobrych chęci i wstydu i bezradności, na uczucia panujące we wzajemnych stosunkach CZARNYCH i BIAŁYCH.

Więc wtedy tam, na brzegu jeziora, wiedziona jakimś instynktem odchodzę od tych moich BIAŁYCH, biorę łódź wiosłową i płynę na środek jeziora, aby się zbliżyć do nich, CZARNYCH. Ja nie jestem stąd, wolno mi. Zdaje mi się, że w ten sposób wyjdę sama, bez niczyjej pomocy, na spotkanie tego drażliwego problemu, nazywanego zresztą w historii cywilizacji tamtego kontynentu „przekleństwem i hańbą", nazywanego też „dramatem" a nawet „tragedią". Biorę łódź i płynę tam, ku temu miejscu, gdzie powierzchnia jeziora zlewa się z powietrzem, w którym zdają się tkwić zawieszone dwie czarne figurki. Wiosłując, czuję za plecami ICH, te dwie hebanowe statuetki, nieruchome, łyskające tylko od czasu do czasu błyszczykiem i, kiedy powinnam znaleźć się na granicy zasięgu tego właśnie błyszczyka — oglądam się, aby nie uderzyć rufą w ich burtę. I wtedy spostrzegam, że ICH tu wcale nie ma; spostrzegam przesuwanie się tego ciemnego, centralnego punktu pejzażu. Steruję więc wprost na nią, na tę ciemną plamę i znów to samo; widzę: ONI USUWAJĄ MI SIĘ Z DROGI. Słyszę lekkie pomrukiwanie motorka ich łodzi. Oni są teraz po mojej lewej burcie; nie patrzą, nie mówią, oni także nic nie mówią, tylko usuwają się z drogi, mnie białej kobiecie. Nie jestem dla nich niczym więcej zresztą, jak tylko BIAŁYM CZŁOWIEKIEM, któremu należy usunąć się z drogi. Oni tak sądzą — ja myślę — są do tego przyzwyczajeni przez wieki, robią to z niewolniczym odruchem. Myślę tak, mniemając, że posiadłam jeden przynajmniej niezachwiany pewnik na drodze poznania tego skomplikowanego problemu. Utwierdzi mnie w tym przekonaniu bliska przyszłość, bo kiedyś w podobny sposób usunie mi się z drogi stara CZARNA kobieta, o twarzy pomarszczonej i szarej jak popiół; Murzyni, starzejąc się i siwiejąc, o ile nie robią się tłuści i rozlani, tak właśnie wyglądają: jak szare grudki popiołu. Ta kobieta będzie stała na końcu szeregu ludzi, czekających na autobus na jednej z chicagowskich ulic, będzie już miała nogę na stopniu wozu, ale nagle posłyszy za sobą nasze zdyszane oddechy — dobiegłyśmy w ostatniej chwili na przystanek — i cofnie się od wejścia, ustępując nam pierwszeństwa. Ja powiem jej „get on, please" (proszę wsiadać), podeprę ją nawet pod łokieć, aby stara mogła wejść, ale wtedy ona, ta CZARNA, szarpnie się niemal ze złością, uważając nam się z drogi. Pomyślę wtedy — oni są ustępliwi niemal w agresywny sposób; ale te oba „pewniki" okażą się wkrótce całkiem niepewne, ba, zupełnie błędne, właśnie jak stąpnięcie na kamień tkwiący w grząskim gruncie, który usuwa się spod nóg; kiedyś bowiem, nocą, nie, to nie była jeszcze noc, raczej pora omdlewania dnia na ciepłym brzuszysku nocy wilgotnej, gęstej od upału, duchoty i spalin wielkiego miasta; — więc kiedyś — będziemy właśnie szli we troje brzegiem krawężnika jakiejś street — nagle z wąskiego przejścia między domami wyjdą dwaj CZARNI, Goliaci, w bawełnianych dżinsach i w rozpiętych koszulach na czarnej piersi; ujrzawszy nas BIAŁYCH, dwie kobiety i tylko jednego mężczyznę, CZARNI skręcą spod muru ostrą przekątną wprost na nas. Na swoim przedramieniu poczuję wtedy zaciskające się palce mojej towarzyszki, posłyszę jej szept: „Jezus, Maria, napadną nas!"

Ulica będzie pusta, o tej porze nikt tam pieszo nie chodzi, z sykiem mijają nas tylko pojedyncze auta. Poczuję szarpnięcie się białej kobiety, jakby chciała uciekać na jezdnię, jak najdalej od tych, którzy szli wprost na nas. Posłyszę szept mężczyzny, który chwycił przerażoną białą kobietę za łokieć, przytrzymał i zmusił do równego kroku, jakim szliśmy poprzednio. Ten szept brzmiał: „Nigdzie nie uciekaj, musimy iść tak jak szliśmy do tej pory, jakbyśmy się ich wcale nie bali. Jeżeli zaczniesz uciekać, oni wtedy na pewno..."

Nastąpi chwila napięcia, tak ostrego jak ostrze brzytwy; CZARNI idący wprost na nas zatrzymają się przed nami, spojrzą nam prosto w twarz i zmuszą nas, BIAŁYCH, abyśmy się my USUNĘLI IM Z DROGI. Dopiero potem, gdy będziemy mieli ich za plecami, posłyszymy śmiech. Oni będą się śmiali, że myśmy im musieli ustąpić z drogi. Będą mieli satysfakcję. Boże mój, zdarzają im się niekiedy „lepsze" satysfakcje; martwe. Miałam szczęście. Wtedy zrewiduję tamte poprzednie dwa całkiem niepewne pewniki i pomyślę, więc jak to u licha z nimi jest; są lękliwi czy agresywni? Pomyślę: „przecież to się nie da wszystko razem poskładać" (Różewicz) w jedną logiczną całość, podobnie jak nie da się poskładać w jedno — serce jednego człowieka z wątrobą i mózgiem drugiego człowieka, jak nie dadzą się też poskładać słowa poetów murzyńskich, z których jeden mówi:

„Dlaczego jestem Murzynem?
Dlaczego jestem czarnym?
Kiedy Bóg wrzucił mnie we
wnętrze mojej matki,
czemu śmierć tak szybka i
tak gorliwa
nie przybyła, aby oderwać
mnie od ziemi?"

a drugi powiada:

„Dziękuję ci, Boże, żeś mnie
stworzył czarnym".

* * *

Więc już może lepiej posługujmy się cyframi. Statystyka. Cyfry może się dadzą łatwiej poskładać, choć zawsze pozostanie jakaś niewymierna, nie poddająca się cyfrze — żywa materia, utajona w niedopowiedzianym słowie, w błysku oka, w geście. Słuchajmy co mówią cyfry i ludzie, operujący cyframi. Mówią:

— U nas, na Północy, nigdy nie było segregacji na uniwersytetach. Murzyni mogą się kształcić, zajmować wybitne stanowiska społeczne, Murzyni są lekarzami, adwokatami; 25.000 Murzynów jest na kierowniczych stanowiskach; to nie bagatela. Są uznawanymi aktorami, śpiewakami, choreografami; mają własne zespoły teatralne, operowe; mogą chodzić na równi z białymi do lokali, do kin, teatrów, jeździć autobusami razem z białymi. Patrz — mówi ktoś do mnie — jak te Murzynki chodzą po ulicach, jakby całe Chicago do nich należało. Widzisz ich sklepy, ich domy? Widzisz, ile mają czasopism? Ich miesięcznik, magazyn „Ebony" ma prawie 600.000 nakładu. Czy im tu źle?

Patrzę. Przez Randolph Street idą młode ciemne dziewczęta; szczupłe, zwinne, idą krokiem tak lekkim, sprężystym, jakby pumy albo rysie stąpały po chodniku. Dziewczęta mają proste, rudawe włosy, raczej kasztanowate, nie rudawe; młode Murzynki, gdy są ładne, to są śliczne; ciekawe są te kasztanowłose plemiona. Za tymi dziewczętami, prostowłosymi, oglądają się inne Murzynki, o włosach czarnych pozwijanych w pierścionki; o, my wiemy, marzeniem każdej czarnej dziewczyny jest mieć proste włosy; one wydają dużo pieniędzy na prostowanie włosów u fryzjerów

Czarne dziewczęta widzę też w bibliotece publicznej; zatrudnione są przy odbiorze i wydawaniu książek, przy rejestracji abonentów; czarne studentki stemplują u czarnej woźnej karty biblioteczne.

Jedziemy zwiedzać domy akademickie w Chicago; przechodzimy przez sale klubowe, korytarze, pokoje; jemy obiad w stołówce; samoobsługowej; bierzesz tacę, talerz, kubek, nóż i widelec, podchodzisz do bufetu-baru, biała sprzedawczyni nakłada ci, co sobie życzysz; zanosisz to sobie sam do stołu, zjadasz, odnosisz do okienka kuchennego, z którego wychyla się czarna kędzierzawa głowa pomywacza. Ale przy stołach siedzą razem studenci wszystkich narodów i ras: czarni, biali, żółci. Jedzą, rozmawiają; śmieją się.

Jedziemy którejś soboty na występ hiszpańskiego baletu Roberto Iglesias do Chicago Orchestra Hall. Znakomity balet; ale tańczy między innymi poemat Garcii Lorci „Soledad Montoya"; to już mniej znakomite. Obok nas siedzą dwaj czarni młodzi mężczyźni. Bonny bo to z nią byłyśmy na tym balecie, mówi:

— Spójrz, tak wyglądają nasi czarni intelektualiści.

Są w smokingach, w śnieżnych koszulach z muszkami, pachną świetną wodą kolońską i rozprawiają o Lorce. Bonny mówi:

— Kiedyś kultura wyrówna tę wielką przepaść między nami, a masą murzyńską, bo masy...

Urywa. Wiem o czym myśli. O masach w getcie. Kiedyś, w jakieś dwa miesiące potem, będę w New Yorku, w jednym z eksperymentalnych off Broadwayoskich teatrzyków, na dolnym Manhattanie. Czarni aktorzy wystawiać będą Geneta „The Blaks"; w małej, pomalowanej olejno na więzienny szary kolor salce na pięterku, jakby w jakiejś dawnej kawiarni, czy w lokalu zebraniowym (jakiś starszy emigrant ostrzegał mnie w swojej życzliwości: niech pani tam nie chodzi, tam niedawno było gniazdo komunistów). Salka będzie wypełniona w większości publicznością białą; dużo studentów, inteligencji artystycznej. Przedstawienie szło już kilka miesięcy. Kiedy patrzyłam na zaimprowizowaną, mayerholdowską scenę zdawało mi się, że słyszę głos Bonny (a byłam sama):

— Widzisz, oni mają swoje zespoły, biali przychodzą, oklaskują ich. Czytałaś prasę? To uchodzi za jedno z ciekawszych przedstawień ostatniego sezonu...

Bonny jest lojalną obywatelką swojej Nowej Ojczyzny i... Wiem, domyślam się. Jej się wydaje, im to niemądra propaganda wmawia, że my tu wszyscy, „za żelazną kurtyną", uważamy ich wszystkich za „linczowników" i gnębicieli Murzynów. Bonny więc chce mi pokazać odwrotną stronę medalu, wszystko co dobre, wszystko co Murzyni już osiągnęli. I w swojej lojalności obywatelskiej Bonny znakomicie zaciemnia mi obraz „kwestii murzyńskiej". Rozumiem ją. Ale to robi nie tylko Bonny, z jej dobrą wolą i lojalnością. Siedzę kiedyś w jedynej w Chicago kawiarni „U Lenarda", na Milwaukee, jedynej, bo tam nie ma kawiarni w ogóle, prócz kilku lokalików w artystycznej dzielnicy Greenwich Village w N. Yorku czy San Francisco (oni mówią: „My pracujemy, my nie mamy czasu jak wy, żeby godzinami siedzieć w kawiarni i tracić czas na gadanie"), siedzę więc w tej kawiarni, po lewej ręce mam starego emigranta, wrosłego już od dziesiątków lat w tamtejsze życie, „dorobionego" — jak tam mówią, po prawej ręce mam młodego człowieka z nowej emigracji, kogoś ze sfer artystycznych. Rozmawiamy. Ja i ten Oldman, wójt czy jak tam, jednej z chicagowskich dzielnic. Oldman powiada:

— Murzyni? Murzyni proszę pani mają w Ameryce lepiej, jak robotnicy w Polsce. Czy pani wie, że 40% Murzynów mieszka we własnych jednorodzinnych domkach?

O, proszę, są cyfry. Cyfry niezła rzecz. Tylko dlaczego ten młody człowiek z nowej emigracji parska naraz gniewnie:

— Dlaczego pan wprowadza panią w błąd?! O jakich Murzynach pan mówi? Ja ich znam, ja mieszkam tuż przy getcie. Niech pan powie także o tych, którzy mieszkają w swoich jednorodzinnych domkach... w osiemnaście osób w trzech pokojach. Dlaczego pan o tych nie powie? Dlaczego pan nie mówi, o tym co się dzieje na Południu, dlaczego pan nie powie o bezrobociu wśród Czarnych, o tym co się dzieje w getcie, o tym, dlaczego biały człowiek nie może tamtędy przejść nocą...

Oldman milknie zmieszany, potem powie mi kiedyś: „Ech ta nowa emigracja! Wszystko by krytykowali. Im też tu źle. Jak im tak źle, to niech wyjeżdżają sobie do Polski. Po co tu siedzą!" Znów uogólnienie, jeszcze jedno. Jak większość trochę fałszywe, a trochę prawdziwe. Ale wracajmy do sprawy Czarnych. Słuchajmy, myślmy. Może weźmiemy się jeszcze raz do tych cyfr; zacznijmy je rozgryzać, bo cyferki są ładne, niczego sobie, i one na pewno coś znaczą, na pewno są prawdziwe, są duże; w tym kraju wszystko jest duże, bo kraj jest ogromny. Ale cyfra sama przez się nic jeszcze nie mówi; cyfra zna czy coś w zestawieniu z innymi cyframi, w porównaniu. Więc porównujmy. Powiedziałaś, moja droga przyjaciółko, — 25.000 Murzynów na stanowiskach kierowniczych. Bien, ale ile to stanowi procent w stosunku do całej ludności murzyńskiej? Niespełna 7%. A ile procent białych (w stosunku do całej ludności białej) jest na kierowniczych stanowiskach? 25%. Ile wynosi przeciętny zarobek na głowę białego, a ile — przypada na głowę czarnego? Przeciętny zarobek czarnego jest o połowę mniejszy od przeciętnego zarobku białego. Powiadasz — bo oni są niewykształceni, niewykwalifikowani, oni często nie umieją czytać i pisać... Spokojnie, wiem, ale dlaczego tak jest? O tym powiemy dalej.

Czarni pracują wespół z białymi w fabrykach, biurach. Widziałam ich w bibliotekach, urzędach — na niższych raczej stanowiskach: rejestratorów, informatorów, woźnych, w okienkach pocztowych. W lokalach... może miałam specjalnego pecha, może mnie prowadzono do lokali tylko dla białych, ale przecież tu na Północy nie ma segregacji w lokalach, nie widziałam nigdzie Murzynów — ani jako gości, ani jako kelnerów, owszem, jako sprzątających ze stołu i pomywaczy. Nawet w barach-automatach, gdzie żywią się najmniej zamożni, gdzie widziałam biedną parę staruszków która wzięła dwie porcje jarzyny i tylko jedną porcję mięsa i dzieliła się nią, gdzie widziałam biedaka w butach ubranych na bose nogi (w grudniu), który wziął pustą filiżankę i siedział z nią przy stole, markując picie, aby się móc rozgrzać, więc nawet w tych barach jakoś nie trafiłam nigdy na Czarnego. Ktoś, zapytany przeze mnie o to, bąknął: oni mają swoje lokale. Może więc mogą, a nie chcą przychodzić? Może. Nie dziwiłabym się, w ogóle wydaje mi się wątpliwe to szczęście jadania z białymi.

Nie widziałam też Murzynów w żadnym kościele (oni mają swoje kościoły i kaplice, w swoich dzielnicach i w ogóle...) ani w bibliotece przy stołach czytelnianych. Może taki mój traf. Może. Kiedyś za to do pewnego biura ubezpieczeniowego przyszła młoda kobieta o wyraźnym akcencie francuskim: chciała wykupić polise ubezpieczeniową na auto. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie była przyprowadziła z sobą dziecka: czarnego dziecka. Urzędnik firmy ubezpieczeniowej zapytał:

— To pani dziecko?

W okresie bojkotu autobusów, wielu Murzynów udawało się do pracy na piechotę. Po roku Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych zarządził zniesienie segregacji rasowej w autobusach.

— Moje.

— Pani jest żoną Murzyna?

— Tak.

— Żałuję bardzo, ale ja nie mogę pani ubezpieczyć. Może inna firma.

— Dlaczego?

— My nie ubezpieczamy Czarnych.

— Jak to, przecież tu jest Ameryka, tu jest wolność...

— Owszem, tu jest wolność, dlatego wolno mi nie ubezpieczyć kogoś, kogo nie chcę ubezpieczyć.

Rozmawialiśmy potem o tej sprawie. Mówiono mi: pewnie przyjechała tu ze swoim Murzynem z Europy, albo może wyszła za mąż tu, zanim się spostrzegła, że u nas się tego nie robi. Biedna, będzie żyła poza społeczeństwem. Nie przyjmą jej ani biali, ani czarni.

To prawda, tam nie widzi się zupełnie małżeństw mieszanych, może pojedyncze, gdzieś w sferach artystycznych, i to najczęściej wśród aktorów, raczej świeżych emigrantów, a nie osiadłych z pokolenia w pokolenie. Tam, na Południu, mówi się „u nas się nie skundla rasy".

Kiedyś będę jechała z jedną z nowoupieczonych Amerykanek po zakupy. W pewnym momencie wskażę jej sklep. Jean, bo to właśnie była ona, spojrzy w witrynę, za którą będzie widać czarną sprzedawczynię i powie:

— To sklep czarnych. Biali nie kupują u czarnych.

Wtedy przypomni mi się kuzynka Jean, Betsy, z którą kilka dni przedtem kupowałyśmy banany właśnie tutaj. Betsy jest jedną z tych „innych" Amerykanek, która dużo podróżowała, która nie ciuła na większy dom i drugie auto, która mówi: „A ja tam nie chcę być za wszelką cenę bogata, mnie wystarczy to co mam, wolę gdzieś pojechać w świat". Betsy podśmiewa się trochę z Jean.

Powiadam więc teraz:

— A przedwczoraj z Betsy kupowałyśmy owoce właśnie tutaj.

Jean ściągnie usta, ale nie pokaże mi, że ją wraz z Betsy denerwujemy i wyjaśni mi cierpliwie:

— Bo Betsy jest leniwa. Jej się nie chce pojechać dwie mile dalej i szukać parkingu. Ona woli iść bliżej do Czarnych. Ale ona się kiedy doigra. Crazy (wariatka).

Potem zauważę, że Jean nie siada także w autobusie obok Czarnych, więc zacznę się przygiądać innym białym i spostrzegę, że miejsce na ławce obok Czarnego pozostaje zazwyczaj zawsze puste, a przynajmniej najdłużej pozostaje puste. I że w autobusach Czarni starają się siadać w tyle wozu, że raczej także nie siadają przy białych. A potem — potem to już się wiadomości i spostrzeżenia będą gromadziły tuzinami: więc biali, nawet ci najbiedniejsi, mieszkający w tanich miejskich domkach o niskim komornym, skoro tylko mogą — wyprowadzają się z tych domów, przepłacając wysokie komorne w prywatnych domach, byle nie mieszkać z Czarnymi; biali przy kupnie domu często podpisują (wbrew prawu) zobowiązania, że nie sprzedadzą realności Czarnym. Biali — gdy tylko Murzyn wprowadzi się na ich ulicę, zamieszkałą przez Białych — opuszczają pośpiesznie tę ulicę, w obawie przed inwazją Czarnych. Biali — mimo obowiązującej od r. 1954 desegregacji w szkołach, nie chcą przyjmować czarnych uczniów ze szkół w dzielnicach murzyńskich, szkół pękających od nadmiaru murzyńskich dzieci. Wiele szkół mieszanych jest, ale opory są, opory długo będą. Potem dowiem się, spostrzegę... Dużo jeszcze będzie tych „dowiem się", „zauważę"... W końcu jednak dojdę do wniosku, że zrobiono już dużo, ale że jeszcze dzisiaj, nawet tu na Północy, uniwersytet, w którego salach siedzą obok siebie studenci wszystkich narodów, wszystkich ras, że to miejsce gdzie runęły bariery rasowe — jest jeszcze wciąż symbolem, pięknym symbolem zbratania ludzkości, które w innych dziedzinach dopiero się kiedyś, kiedyś spełni.

A przecież tu, na Północy jest i zawsze było najlepiej.

WANDA KARCZEWSKA

BIAŁY Front

Dalszy ciąg ze str. 1

nie schodzą już ze swoich posterunków od 18 godzin, szlak nieustannie woła o pomoc.

— Kaliska? Tu Glinnik. Osobowy do Łowicza nie może przebić się przez zaspy! Wyślijcie pług! Sami nie damy rady...

— Posterunek Gawrony. „Węglarz" utknął na trasie. Blokuje nam linię. Pomóżcie...

Węgiel ma pierwszeństwo. To znaczy pierwszeństwo ma ciepło dla ludzi, światło dla szpitali, fabryk i mieszkań. To znaczy ciepło i broń do walki z mrozem, na którą czeka cały kraj. Stąd — „zielona droga" dla węglarza. Setki łopat znowu wbijają się w śnieżne zaspy. Tam, gdzie potężne pługi utykają nosami w białej ścianie zbitego na beton śniegu, tam do walki z żywiołem staje człowiek.

I okazuje się mocniejszy od wichury, zawiei i maszyn. Węglarz może jechać dalej.

Na węgiel czeka także Łódź. By mógł on jednak trafić na Olechów, Kaliską i Widzew, na Śląsk trzeba wysłać puste węglarki. Śląsk woła o wagony. Śląsk woła o pomoc na całej trasie od Tarnowskich Gór, Katowic, poprzez Karsznice, Łódź, aż po Gdynię. Meldunki mówią, że Śląsk jest „zatkany". Dziesiątki wagonów utknęły na trasie.

Główny dyspozytor — Stanisław Dziędziela z niepokojem patrzy na grafik. Kogo wziąć? Ustawiacze — Piekacz, Michalak, Wysocki, manewrowi — Pietrzak, Nowak, Marszałek, Śnieguła, Słomiany i Szymański już dawno zasłużyli na odpoczynek.

— Zawiadowco, tylko łyk herbaty...

I w drogę. Białą pustynią śniegu, pod którą kryją się pokręcone jak włoskie „spaghetti" torowiska. Na kolei w tych dniach nie ma rzeczy niemożliwych. Bo kolej znaczy teraz — sprawne, normalne życie. I ludzie walczą o nie wszystkimi swoimi siłami. Czasami aż ponad siłę.

Trzeba się przeczołgiwać tam, gdzie śniegu jest trochę mniej, to znaczy nie sięga do pasa. Skostniałe na wichurze i mrozie ręce odmawiają posłuszeństwa. A przecież trzeba jeszcze ustawić puste węglarki, spiąć stalowe wiązadła, do których kleją się zmarznięte ręce. Która to już węglarka? Zienkiewicz mówił, że ma ich być siedemdziesiąt pięć...

* * *

Kilkadziesiąt metrów stąd widać jeszcze tu i ówdzie oświetlone okna domów. Tam jest ciepło. Tutaj jest „wydmuch".

Posterunek Karolewska koło mostu przy ul. Obrońców Stalingradu. Nawet drzewa pobliskiego parku na Zdrowiu nie dają osłony przed wichurą. Ile to już razy wychodziło się, by oczyścić zwrotnicę? Ale — jeszcze raz, za kilka minut ma tędy przelecieć „Poznań". Jeszcze raz sprawdzić zwrotnice, nim zabrzęczy ostrzegawczy dzwonek.

— Cholera! Znowu nawaliło!

Żelazny łom wciska się między szpary zwrotnic. Biały pył zasypuje i cementuje wszystko. Skleja ze sobą stalowe nitki szyn, unieruchamia i blokuje. A to znaczy tyle co katastrofa, często tyle co — śmierć.

Więc — jeszcze raaz! Ej - ruup!

Wreszcie wszystko jest w porządku. Można znowu wrócić do ciepłego baraku.

Wrócić?

Instynkt każe opatulić się w szmaty, ukryć za ścianą, wtulić się w jakiś ciepły kąt i przeczekać tę wichurę. Rozsądek każe iść przeciwko śniegowi, każe sięgać po łopaty i szpadle, każe prowadzić syzyfowy bój z rozszalałym żywiołem.

I „Poznań" może przejść. Może przejść również szlakiem już wolnym od śniegu „dwanaście — cztery — piętnaście" wiozący węgiel do Bydgoszczy. Może przejść aż nie utknie w którejś z nowych zasp. Ale dziesiątki rąk pomogą mu przebrnąć dalej. Otworzą drogę. I pójdzie dalej.

* * *

Nad biurkiem, w kręgu lamp pochylają się głowy.

Tutaj przychodzą wszystkie meldunki, tutaj pracuje sztab armii walczącej na białym froncie.

— W Gomunicach k. Radomska wyskoczył z szyn wagon pociągu elektrycznego... Blokuje magistralę.

— Tu Łowicz! Wykoleił się nam wagon, damy sobie radę.

— Tu Widzew! Kilka wagonów poleciało z toru!

Jeszcze jeden natarczywie brzęczący telefon. Tym razem Elektrociepłownia Łódź.

— Czy wiecie coś o losach transportu węgla, który miał dziś przyjść ze Śląska? Kurczą się nam zapasy...

— Tak, 150 wagonów z węglem szło do Łodzi ze Śląska. Jeszcze nie dotarły do Karsznic. Karsznice nie wiedzą nic o ich losie.

Sprawdzić więc trzeba, gdzie są, gdzie utknęły po drodze...

Zmęczona ręka sięga do kieszeni po kolejnego „Sporta". Ile to już sztuk? Machinalny rachunek pochłoniętego tytoniu, który tutaj zastępuje i musi zastąpić wszelki pokarm, trzyma w napięciu, daje odpoczynek. Na pójście do stołówki nie ma czasu. Zresztą — niech zostanie dla tych, którzy walczą na szlaku.

— Co z tym węglem dla Elektrociepłowni?

Wreszcie wiadomo. 150 wagonów utknęło za Tarnowskimi Górami w nieprzebytych zaspach śniegu. Karsznice wysłały pociąg ratunkowy. Czy to coś pomoże?

Zgłasza się stacja Widzew.

— U nas wszystko w porządku. Przyjęliśmy 5 pociągów. Jest również „węglarz"...

— Pchnijcie go do Elektrociepłowni.

„Węglarz" znaczy życie dla miasta. Za dwie godziny może przyjść inny „węglarz" i pojutrze dostaniesz człowieku choć metr węgla na opał. Choć metr. O to walczą ci ludzie rozrzuceni od Tarnowskich Gór po Gdynię, Białystok, Szczecin, Wrocław i Medykę. Walczą o życie kraju, o swoje życie.

— Jak u was z ludźmi?

Na Widzewie przyszło z pomocą wojsko. Jednostka KBW odłożyła tym razem do stojaków broń, karabiny zastąpiono łopatami. To też jest front. Tacy jak Fijałkowski, Kęsik, Witek, Krasucki, Goździk od 24 godzin nie schodzą ze swoich stanowisk. Stacja zaczyna powoli wracać do normalnego stanu. Górka rozrządowa pracuje już niemal normalnie. Tylko — co zrobić ze śniegiem? Nie ma ani samochodów, tory wyglądają jak tunele otoczone dwumetrowymi ścianami białego puchu. Może nadejdzie pomoc z zakładów?

Niestety, tym razem Łódź zawiodła. Zostali zdani na własne siły.

Jest i Olechów.

— Tutaj zawiadowca Schilf! Pracujemy już normalnie. Daliśmy do Łodzi 8 składów. Jest węgiel. Czy trzeba pomocy? Nie, nie trzeba. Damy sobie radę.

Dadzą sobie radę, choć Giegier, Wąsowicz, starszy ustawiacz Białecki, Łudzikowski, Rolczak i Goć słaniają się już na nogach.

Kto to powiedział, że na kolei nie ma rzeczy niemożliwych?

* * *

I znowu Kaliska. Noc zbliża się już do końca.

Nie kończy się jednak ludzki trud.

— „TY" nie może ruszyć składu...

Skład to cztery wagony, które trzeba podstawić do gliwickiego pociągu. „TY" to najcięższy parowóz. A jednak i on, ten siłacz, nie może podołać żywiołowi. Więc — dać mu jeszcze dwa parowozy. Niech pomogą człowiekowi, skład musi odejść z Łodzi punktualnie. A jednak nie dadzą rady. Trzy? To już wymagałoby specjalnego zezwolenia z Warszawy. Więc znowu z pomocą idą ludzie. Łopaty, dmuchawy ze sprężonym powietrzem. Wreszcie drgnęły wagony. Toczą się w stronę peronu. Uff! Jeszcze jeden pójdzie w drogę.

Zgłaszają się Karsznice.

— Nie możemy przyjmować żadnych składów. Mamy całą stację zatkaną. Nie dajemy rady ze śniegiem. Przyślijcie pomoc...

Zgłasza się Kutno.

— Wstrzymajcie na chwilę składy! Nie możemy przyjmować. Mamy kłopoty ze zwrotnicami. Zamarzają. Śnieg wywozimy pociągami towarowymi...

Ile to już razy szlak wzywał o pomoc?

Jest godzina 7 rano.

Tadeusza Grzelaka, tego, którego na węźle nazywają „Drugi", nikt nie prosił, by stawił się w nocy do pracy. Odwalił swoją robotę i mógł spokojnie odpoczywać w domu. Przyszedł sam. Tak jak Troczyński, tak jak naczelnicy Sieradzki i Korzeniowski. Oni też czuwają, słuchają o czym mówi szlak.

A szlak powoli się uspokaja.

— Tu stacja Olechów. U nas jest już wszystko w porządku. Przyjmujemy piętnasty pociąg. Drogę mamy wolną. Daliśmy sobie radę.

— Tu stacja Widzew. Nie potrzebujemy pomocy. Ruch odbywa się normalnie.

— Tu stacja...

Ruch odbywa się normalnie. Na przekór zawiei i żywiołowi.

KRZYSZTOF POGORZELEC

Europa, Ameryka Północna i część Azji znajdują się w okowach surowej zimy. Wskutek obfitych opadów śniegu zablokowane zostały drogi i linie kolejowe. Dotkliwy brak węgla, ropy naftowej daje się odczuć w Niemczech zachodnich, Francji, Anglii i Włoszech. Niskie temperatury prawie całkowicie zniszczyły zimowe zasiewy w południowej Francji i Włoszech, a nawet w słonecznej Sardynii. W wielu okręgach Włoch, Francji, Węgier i Jugosławii stada głodnych wilków atakują owce, bydło i dziką zwierzynę. Surowa zima pochłonęła w Europie 1400 śmiertelnych ofiar w ludziach.

Złowrogie skutki zimy odczuwają również zwierzęta. Ostatnio, w poszukiwaniu pokarmu, przeszły przez Wisłę, Pilicę duże stada saren, dzików oraz wilków. Także i rysie pojawiły się w Lasach Świętokrzyskich. Prawdopodobnie przywędrowały tutaj aż z Pieszczad.

Rozszalała zamieć wywołuje wiele komplikacji w Łodzi. Tylko samozaparcie i heroiczna praca kolejarzy węzła łódzkiego umożliwiły podtrzymanie komunikacji a przede wszystkim dowiezienie węgla do miasta. Tak np. o ile główna stacja towarowa Łodzi, Olechów, przyjmuje normalnie w ciągu 12 godzin 15 pociągów, to w krytyczną noc z 3 na 4 lutego przyjęła ich tylko 5, w tym jednego „węglarza".

Tegoroczna zima bije wszelkie rekordy, jeżeli chodzi o kraje Europy zachodniej i południowej. Warto wspomnieć, że w tych rejonach tylko nieliczne domy wyposażone są w urządzenia ogrzewające.

Nieco inaczej jest z Polską. Równie srogą zimę mieliśmy w latach 1936, 54, 40 i wreszcie w latach 39/40, 43/44 i 46/47. Tak było jeżeli weźmie się pod uwagę tylko temperaturę. Natomiast pod względem opadów śniegu oraz towarzyszących im zawiei tegoroczna zima bije wszelkie rekordy od 100 lat.

Najbardziej newralgicznym punktem na komunikacyjnej mapie Polski jest Śląsk. Wprawdzie tutaj skupia się tylko 9 proc. krajowych linii kolejowych, ale za to stąd zaczyna swoją drogę około 60 proc. wszystkich przewozów. Pierwszy atak śniegu — 16 stycznia — sparaliżował węzeł katowicki. Noc z 3 na 4 lutego była już pomyślniejsza dla ludzi. Zdołano wysłać o 35 pociągów węglowych więcej niż 16 stycznia. Zdziałało to samozaparcie ludzi, wspieranych przez 15 pługów śnieżnych.

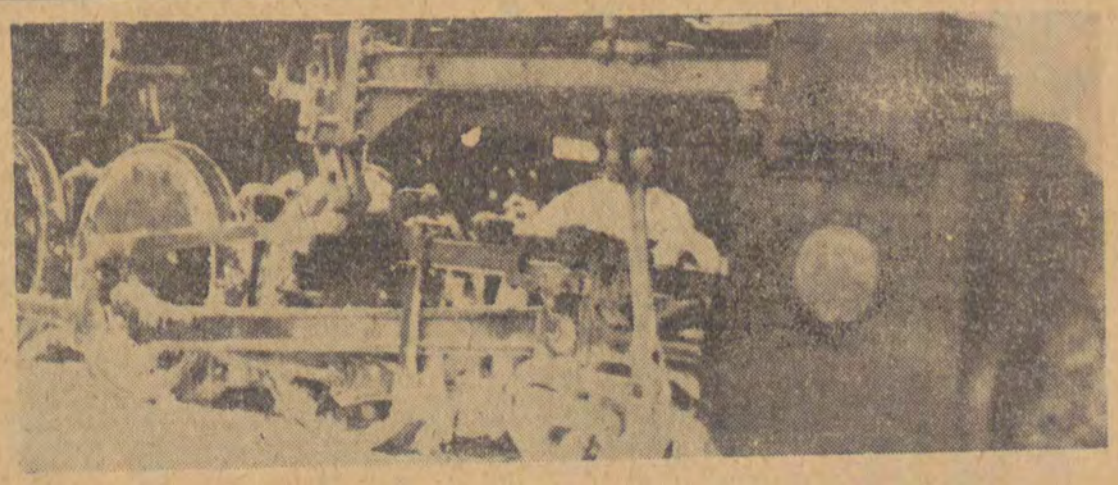

Zdjęcia: J. Głowacki

TADEUSZ GICGIER

KONTRAKT

Przypisani do ziemi, służebni lennicy,
przysięgamy jej wierność, odkrywając głowy.

Tak zostaje zawarty contractus feudalis,
lenne zobowiązanie: będę twym człowiekiem.

A tu masz liczne dobra i korzystaj z nich,
lecz pod określonymi ściśle warunkami.

Primo: będziesz mi składać daninę z twej krwi,
dni, które w noc przechodzą, całopalnych nocy.

Secundo: będzie rosnąć twoje przywiązanie
do mych włości: osiedli, drzew, kobiet i ptaków.

Teraz wstań, zbliż się do mnie: całuję cię w usta,
nakładam na twe ręce i nogi powrósła,

idź, oto jesteś wolny, ja to mówię, ziemia.

A na koniec ugościsz swego suwerena.

ŚMIECH

Nie błysk, nie blask: łagodne lśnienie
i głowy lekkie odchylenie,
drgająca fala ciepła: tak
drga oddech ziemi w dzień lipcowy
i tak odchyla głowę ptak,
do lotu zerwać się gotowy.

Bezdźwięczny dźwięk, dalekie echo
czegoś, co kiedyś musi przyjść,
nie było, mogło tylko być...

Śmiej się, płyń do mnie falą śmiechu!

PRÓBA PRZYWOŁANIA LATA

Oknem otwartym na listopad
szum deszczu wchodzi z szumem miasta,
a tnąca strome strugi szyba
jest czarno-złotą płaskorzeźbą;
szumią opony samochodów,
nadjeżdża tramwaj, huk narasta
i w sieci elektrycznej błysk
już zapowiada letnią burzę:
to błyskawica, której palce
zetknęły się z wysoką wierzbą.

Przez burzę, przełamując lęk
jak gruby warkocz trójgałęzi —
zaraz przybiegnie tu dziewczyna
z deszczem i liśćmi w krótkich włosach;
deszcz będzie spływał na twe ramię,
co chłodne ciało jej uwięzi,
i tylko słychać będzie szum,
krwi i pośpiechu opadanie,
cichnięcie serca...
A to deszcz
przemawia listopada głosem.

ROMAN WIŚNIEWSKI

ZNIECIERPLIWIENI DREPTANIEM...

W ubiegłym roku Bałuty, ongi przedmieście klasycznej nędzy, przekroczyły w dziedzinie budowy szkół charakterystyczny etap: oto większość z nich, bo 22 na 42 znalazło pomieszczenie w nowoczesnych, już w Polsce Ludowej wzniesionych, budynkach. Dzielnica ta przed wojną nie miała ani jednej szkoły średniej, dziś ma ich 11.

Uczniowie czytający w „Kwiatach Polskich" o bałuckich limfatycznych dzieciach będą musieli otrzymać jakiś wyjaśniający rzecz komentarz. Maluczko, a większość szkół podstawowych w Łodzi znajdzie się w pięknych, widnych, nowoczesnych gmachach. I chyba nie tylko w Łodzi...

Ale, czy w tych, nowoczesnych klasach, pracowniach, salach dokonuje się nowoczesna, socjalistyczna, „dobra robota pedagogiczna?". Oto jest pytanie!

Zagadnienie metod pracy dydaktyczno - wychowawczej w szkole socjalistycznej jest sprawą fundamentalną. Można przecież przekazać wiadomości o Spartakusie, Komunie Paryskiej czy Wielkim Proletariacie, nie rozwijając dialektycznego myślenia, ani też nie kształtując więzi uczuciowych ucznia z walką klas uciskanych. A gdybyś tak, miły czytelniku w czapce niewidce mógł odwiedzić niektóre lekcje propedeutyki filozofii, który to przedmiot w założeniu miał stanowić finałowy akord w naszej długiej pracy kształtującej kręgosłup światopoglądowy wychowanków... Już lepiej tego nie robić, nawet gdyby to było możliwe.

Cóż z tego, że dzieci nasze uczą się i o powstaniu Spartakusa, i o Komunie Paryskiej, i o Wielkim Proletariacie, i o Rewolucji Październikowej, i o Darwinie, Pawłowie i o..., i o..., i o... (n.b. o wiele, wiele za dużo chcemy im w biedne głowiny wtłoczyć, niż wynosi ich pojemność — ale o tym wszystkie nawet już wróble ćwierkają).

Cóż z tego, jeżeli:

— niska jest stosunkowo sprawność naszych szkół (średnie — biadolą na podstawowe, wyższe na średnie — „Ksiądz pana wini, pan księdza, a nam biednym zewsząd nędza");

— archaiczne-metody nauczania (werbalizm, metody „paznokciowe");

— oderwanie od życia współczesnego: techniki, sztuki, nauki — słabe czytelnictwo, szczególnie — literatury popularnonaukowej;

— w wychowaniu: pozory samorządności, (zwłaszcza formalizm w tzw. organizacjach masowych: zarząd, protokół, sprawozdanie, plus ewentualnie gazetka ścienna i to wszystko), a młodzież nic nie ma do gadania w takich sprawach jak turystyka, organizacja wolnego czasu łącznie ze sportem, zajęcia pozalekcyjne.

Wynik? Nuda, zniechęcenie do szkoły, miganie się od lekcji zadawanych w potwornych rozmiarach...

Już widzę, jak się żachnąłeś czytelniku. Innych kolorów publicyście zabrakło, tylko czarny widzi?

Osądź sam: może rzeczywistość szkolna, która ciebie otacza jest inna, jaśniejsza, zupełnie jasna?

A ja piszę z pewną świadomą przesadą, którą dyktuje jakiś żal, czy zniecierpliwienie, takie jest dobre prawo publicysty.

Widzi się oto, jak w imponującym tempie, z rozmachem rozwija się nasza technika, gospodarka narodowa, sztuka we wszystkich niemal dziedzinach, nauka. A co z naszą pedagogiką? Gdzież jest pedagogika naszych czasów? Pedagogika, czyli nowoczesna teoria pedagogiczna, śmiała nowatorska eksperymentująca praktyka.

Na kursie dla dyrektorów Studiów Nauczycielskich, a więc ludzi poważnych, doświadczonych, jeden z naszych luminarzy pedagogów trzymał wielogodzinny wykład, którego jedynym (!) tematem było dowodzenie oniemiałym z podziwu słuchaczom, że nauczyciel to — „mąż stanu", a o reformie szkolnej ani dudu.

Reforma szkolna, którą przecież już realizować rozpoczęliśmy, to — obok przedłużenia o jeden rok nauki w szkole podstawowej i związanej z tym zmiany programów nauczania — jakaś rewolucyjna przemiana w dziedzinie metod nauczania. Towarzyszyć jej winien wielki ferment umysłowy: poszukiwanie nowych sformułowań teoretycznych, śmiałych i licznych prób doskonalenia warsztatu dydaktyczno-wychowawczego.

Tymczasem wśród nauczycielstwa zwycięża niekiedy zdanie, że „nowe" programy i „nowe" podręczniki, gdzieś tam wysoko się wylęgną i że w rzeczywistości głos szarego nauczyciela niewiele albo zgoła nic tu zawa żyć nie może.

Tak zwana dyskusja na temat nowych programów była dość często dyskusją pozorną, robioną bez wiary, że jest istotnie komukolwiek potrzebna. Słyszało się głosy: my tu gadu, gadu a programy już się drukują. Z podobnego mniemania rodzi się obawa, co do nowych podręczników. Czy one istotnie będą lepsze?...

Poza tym wydaje mi się, że istnieje stanowczo zbyt słabe związanie naszych naukowych ośrodków pedagogicznych ze szkołami.

Nawet twórczy, inteligentny nauczyciel czuje się osamotniony, kiedy poszukuje nowych dróg. Jest to tym bardziej smutne, że takich nauczycieli mamy niewielu. Ogół bowiem boryka się z realizacją potwornie rozdętych programów pragnąc za wszelką cenę osiągnąć wskazane „wyniki". Cenę tę płaci przede wszystkim młodzież.

Wydaje mi się, że nakazem chwili jest koncentracja wysiłków wszystkich czynników odpowiedzialnych za treść i kształt nowej szkoły: ośrodków naukowych, Centralnego Ośrodka Metodycznego, władz szkolnych, przy najściślejszym współdziałaniu ze Związkiem Nauczycielstwa Polskiego.

Sądzę, że ideą ogniskującą te wspólne wysiłki jest chyba nadanie konkretnej treści pojęciu kształtowania psychiki człowieka zaangażowanego, współodpowiedzialnego za to wszystko, co się dzieje w jego kraju, mieście, wsi...

Chodzi chyba o to, by już kilkunastoletni czy nawet kilkuletni obywatel socjalistycznej ojczyzny był świadomy *zadań*, jakie przed nim stoją, *sposobu*, w jaki te zadania zrealizuje oraz osiągniętych *wyników* i to zarówno w nauce szkolnej, jak i wszelkim społecznym działaniu.

informacje i zaczepki

W Salonie „Współczesności" w Staromiejskim Domu Kultury ZMS w Warszawie otwarto niedawno wystawę fotografiki dwu studentów Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi — Andrzeja Barszczyńskiego (22 lata) i Krzysztofa Gierałtowskiego (25 lat). Wystawa jest naprawdę bardzo ciekawa i nic dziwnego, że wzbudziła w stolicy duże zainteresowanie. A może Polskie Towarzystwo Fotograficzne zainteresuje się pracami młodych fotografików i ekspozycję będziemy mogli zobaczyć w Łodzi?

●

Tych, którzy śledzili losy bohaterów „Tajemniczej laseczki" Zbigniewa Nienackiego, drukowanej w swoim czasie w „Głosie Robotniczym" informujemy, że ta zajmująca powieść sensacyjna wydana została ostatnio przez „Czytelnik" w serii z „Jamnikiem". Tytuł nieco zmieniony brzmi: „Laseczka i tajemnica", cena 16 zł.

●

Istniejący już 10 lat bardzo popularny Łowicki Zespół Pieśni i Tańca wyjechał na Sycylię, gdzie w miejscowości Agrigento odbędzie się międzynarodowy festiwal zespołów ludowych. Łowiccy artyści już kilkakrotnie występowali za granicą odnosząc zawsze duże sukcesy. Mamy nadzieję, że i ten wojaż nie będzie pod tym względem wyjątkiem.

●

Radzimy odwiedzić Muzeum Ruchu Rewolucyjnego przy ul. Gdańskiej, gdzie z okazji 100 rocznicy Powstania Styczniowego zorganizowano b. ciekawą wystawę pn. „Broń i pamiątki powstańców 1863 roku".

●

Niebywałe! Książka „Łódź w latach 1945—60", wydana przez Towarzystwo Przyjaciół Łodzi w nakładzie 3 tysięcy egzemplarzy, została dosłownie w ciągu paru godzin rozkupiona. Podobno TPŁ myśli o natychmiastowym druku drugiego wydania.

●

Łódzki Dom Książki uruchomi w najbliższym czasie w naszym województwie 7 nowych księgarń. Powstaną one między innymi w Wolborzu, Łasku, Nowym Mieście, Wieruszowie. Cieszy nas ta wiadomość, bo jest przecież publiczną tajemnicą, że woj. łódzkie pod względem czytelnictwa znajduje się na dość dalekim miejscu.

J. W.

JAN HUSZCZA

Podróż bez wiz

To zmarły w 1960 roku Janusz Makarczyk, zapalony podróżnik, interesujący pisarz i felietonista, łodzianin z urodzenia — pisał gdzieś, iż prawdziwi podróżnicy muszą mieć w sobie coś z włóczęgów. Nie w tym sensie, iż lubią wędrować po świecie — po świecie przecież lubią wędrować i turyści, pilotowani przez „Orbis" — ale że rasowi podróżnicy chętnie zdają się na przypadek i wcale nie muszą mieć... pieniędzy, zatrzymują się na różnych etapach, aby w jakikolwiek sposób zarobić nieco grosza i ruszać dalej. Bo tylko przez rozmaite kłopoty poznaje się życie w egzotycznych — dla podróżującego — krajach od podszewki od strony najbardziej zasadniczych i prymitywnych kłopotów, w ten tylko sposób kontakt z ludźmi traci na zdawkowej znajomości, sztywnej uprzejmości.

Jest w tym chyba wiele racji! W każdym bądź razie reporter, który po dwutygodniowym pobycie kropi książkę, budzi mniejsze zaufanie, niż ktoś, kto zjadł przysłowiową beczkę czy beczułkę soli z ludźmi jakiegoś kraju, środowiska. Poznać to zresztą po książkach: książka zawodowego niejako podróżnika zawiera najczęściej materiał raczej sensacyjny, obraca się wokół faktów jaskrawych, przypadków szczególnych: książka podróżnika, który „nie miał pieniędzy", dociera częściej do istoty przyrody danego kraju, do ludzkich tajemnic i odrębności jego mieszkańców, uroda takiej książki, pozbawiona makijażu i pretensjonalności, robi wrażenie czegoś bardziej odczutego i trwałego.

Książki, dla przykładu, Wacława Sieroszewskiego, podróżnika przymusowego, carskiego zesłańca wśród Jakutów, aczkolwiek powstawały na przełomie stulecia, i dziś wywierają wrażenie, choć żaden szanujący się recenzent nimi się nie zajmuje, bardzo możliwe, iż w przekonaniu, że należą do historii literatury, a niektóre wyłącznie do lektur geografów.

Warszawskie wydawnictwo „Iskry" poprzez swoją piękną serię „Naokoło świata", liczącą już ponad pięćdziesiąt pozycji, umożliwia niejednemu czytelnikowi podróżowanie bez paszportu, wiz i dewiz, co stanowi szczególne ułatwienie.

Dopiero niedawno przeczytałem rzecz Karen Blixen pt. „Pożegnanie z Afryką". Jest to książka zajmująca w tej serii pozycję wyjątkową. Szczegółów o autorce — Dunce piszącej po angielsku — dostarcza w przedmowie tłumacz, Józef Giebułtowicz. Nie mam zamiaru powtarzać za nim wszystkich jego informacji, ograniczając się jedynie do tych, które w jakiejś mierze charakteryzują samo dzieło. Oto autorka jeszcze przed pierwszą wojną światową przybywa z mężem w okolice równika, do Kenii, aby tutaj przez lat bez mała dwadzieścia wieść życie farmera, plantatora kawy. Zamieszkuje w pobliżu dzisiejszej stolicy państwa, Nairobi, obecnie miasta ponad dwustutysięcznego, jak podaje Atlas Świata, wydany przez Państw. Przeds. Wydawnictw Kartograficznych w 1959 roku. Swoją drogą, jak dezaktualizuje się współczesna informacja: niejeden kraj, figurujący w Atlasie jako kolonia, należy już do ONZ!

Karen Blixen pisarką zostaje z przypadku, wtedy gdy bankrutuje jako plantatorka.

Jak określić książkę? Nie da się jej nazwać ani powieścią, ani nawet reportażem. Raczej już, posiekaną na rozdziały i notatki, kroniką tamtych lat. Kronika, dzięki której odbywamy aż dwie podróże: geograficzną, do Afryki, i historyczną, w przeszłość. Obie jednak podróże walnie przyczyniają się do rozumienia afrykańskiej teraźniejszości, materii, z której się formuje. A co najmniej ostrzegają przed zbyt pochopnym ocenianiem ludów afrykańskich z ich całą innością, która wyznacza nie tylko odrębność psychiczną, ale i inność szczebla cywilizacyjnego. Inność — co świetnie wydobywa pisarka — nie niższość!

Kobieca intuicja i subtelność — warto tutaj użyć tego banału — sprawiają, że obcujemy z Afryką chyba najbardziej autentyczną, z Afryką wyjątkowo przez białego człowieka odczutą i zrozumianą. Hemingway należy do moich ulubionych pisarzy, a przecież jego „Zielone wzgórza Afryki", również wydane w tej samej serii „Iskier", to niewiele więcej, niż myśliwska relacja trochę rozmyślającego pisarza.

Dyskretnie wypowiadająca się autorka zauważa rozmaite decydujące konflikty, ale jest też i poetką, co książce dodaje szczególnego uroku. Obserwacje przyrody, flory i fauny, nie tylko robią wrażenie czegoś wyjątkowo trafnego, ale i doskonale nam przekazanego. Krajobrazy i pory doby lub roku po prostu stają się, uchwycone są w ruchu i zmienności. Niektóre zdania mogłyby stać się zaczynem najlepszych wierszy pejzażowych. Pewne tytuły „Z notatnika emigranta" z powodzeniem wypełniłyby tomik poetycki.

Wolno przypuszczać, iż przekład, który pozwala bez znajomości oryginału mówić o wdzięku prozy Karen Blixen — jest zasługą tłumacza, Józefa Giebułtowicza.

List otwarty

W SPRAWIE OPERY

(Dalszy ciąg ze str. 1)

stanem posiadania, nad spektaklami, które widz obecnie ogląda. Widziałem dwa z nich: „Pajace" i „Rycerskość wieśniaczą". Powstały one niemal w tym samym czasie — w końcu ubiegłego stulecia. Chociaż można by było snuć rozważania na temat ich różnic i podobieństw, bardziej celowe wydaje mi się omówienie łódzkich inscenizacji — inscenizacji, które również powstały niemal równolegle.

Pierwsza z nich — „Pajace" — wydaje mi się dziełem o znamionach tego, co potocznie nazywamy „nowoczesnością". Pomijając już sprawy czysto muzyczne (chóry i orkiestra są równie dobre w obu operach) na nowoczesność łódzkiej inscenizacji opery Leoncavalla składają się: w miarę umowna (przynajmniej w pierwszym akcie) scenografia, nieszablonowe operowanie grupami chórów, i — przede wszystkim — gra aktorska.

Po raz pierwszy widziałem na scenie Opery Łódzkiej Delfinę Ambroziak i muszę przyznać, że byłem zachwycony. Nie mówię już o głosie — o tym wiedzą wszyscy — ale o swobodzie scenicznej. Pani Ambroziak nie ma — jak mi się wydaje — ambicji do wielkiej gry dramatycznej, do tzw. „odgrywania" rozpaczliwie banalnych uniesień duszy nakreślonych przez libretto. Sytuacje aktorskie zaledwie markuje, ale przy dodaniu do tego wdzięku i swobody otrzymuje to, na co widz czeka. Z innych założeń pozycji wyszedł Romuald Spychalski, który założył sobie stworzenie właśnie wielkiej postaci dramatycznej. Ku mojemu zdumieniu odniósł częściowe zwycięstwo. Wokalnie jest jak zwykle znakomity, choć wydaje mi się, że ten czołowy tenor Opery Łódzkiej nie bardzo swój piękny głos szanuje, angażując się do wielu półamatorskich imprez — to wszystko jednak nie stanowi JESZCZE zarzutu. Dalsi soliści Z. Studler, J. Antepowicz i J. Artysz, równie dobrzy wokalnie, raczej nie przedstawiają nowych propozycji aktorskich. Całość spektaklu jednak robi bardzo przyjemne, świeże wrażenie nowoczesności. Sygnalizowanej dopiero i nie szokującej, ale zapowiadającej dalszy rozwój w tym kierunku.

Zupełnie inaczej przedstawia się sprawa z „Rycerskością wieśniaczą". Po rozsunięciu kurtyny w niewielkim teatrze im. Jaracza zapachniało naftaliną — preparatem, którym przesypuje się rzeczy bardzo stare w obawie przed molami. Antoni Majak dał spektakl utrzymany w tradycyjnych ramach, co oczywiście jest także wyrazem postawy reżysera i inscenizatora, ale postawy, która nas nie cieszy. I znowu, o ile nie mam zastrzeżeń co do strony muzycznej, o tyle wszystko inne tak dalece odbiega od muzycznej doskonałości, że chciałoby się słyszeć „Rycerskość wieśniaczą" jako montaż z estrady Filharmonii. Nie musielibyśmy wtedy oglądać okropnego zgrywania się Turiddu i Santuzzy, ich dramatycznych rozpraw, szamotania się po scenie, mającego znamionować przeróżne uczucia: od głębokiej miłości do równie głębokiej pogardy. „Gra aktorska" tych dwóch postaci nie jest zresztą niechlubnym wyjątkiem, odnosi się to również w mniejszym lub większym stopniu do reszty zespołu, poza Krystyną Kurtis. Pogarsza jeszcze sprawę wyjątkowo fatalny tekst, pełen „bólów rozdzierających serce" i pięciokrotnie bodaj przez chór z uniesieniem śpiewanego zdania „on ma otwarty świat".

(Te fatalne teksty operowe to zresztą cały problem. Czy naprawdę nie można by było przed wystawieniem opery powierzyć ich jakiemuś pisarzowi do literackiego odświeżenia i uwspółcześnienia?).

O łódzkim balecie niewiele się, niestety, mówi i pisze, a z tego co się nawet pisze, wynika, że jego poziom, nie jest wprawdzie niebosiężny, ale dorównuje poziomowi reszty zespołu Opery Łódzkiej. Cieszylibyśmy się, gdyby to było prawdą. Jest jednak tajemnicą poliszynela, że balet łódzki jest jednym z najsłabszych w Polsce. Wykazały to dawne jego premiery — „Noc Walpurgii", która nie była najwyższym osiągnięciem artystycznym i tańce z „Casanovy", które po prostu były szmirą. „Co było, a nie jest — nie pisze się w rejestr" — mówi stare przysłowie. Nie możemy go jednak zastosować w naszych warunkach. Feliks Parnell, jedyny choreograf przygotowujący od lat kolejne pozycje baletowe jest — jak wszystkim wiadomo — tancerzem bardzo zasłużonym i jednym z lepszych w Polsce specjalistów od tańców narodowych. Monopol jednak Parnella — tancerza charakterystycznego — na wszystkie łódzkie premiery baletowe okazał się w skutkach po prostu szkodliwy. Potwierdzają to trzy kolejne premiery: „Coppelia", „Preludia" i „Tańce połowieckie".

„Coppelia", balet dramatyczny, wymaga inscenizacji o regułach czysto klasycznych. Inscenizacja Parnella tego warunku nie spełnia. Sceny zbiorowe, ballabile, nie mówiąc już o braku harmonii, braku podstawowej organizacji i precyzji ruchu, aż nadto przypominają niezbyt odległe od stylizacji tańców ludowych suity. Wariacje zaś solowe i pas de deux są po prostu nudne. Dla przykładu: układy Traczewskiego i Dampca, którzy wydają mi się najlepiej zaawansowani technicznie są bardzo ubogie w ewolucje taneczne i składają się z nieciekawych powtórzeń skoków i piruetów. Do tego dochodzi jeszcze chroniczny brak równowagi w corps de balle i bardzo trącące myszką scenki mimiczne.

Preludia Liszta w układzie Parnella są w Łodzi czymś niesłychanie nowoczesnym — w pojęciu widzów przyzwyczajonych do starzyzny i w pojęciu realizatorów, którzy w ten sposób gonią baletową nowoczesność. Wygląda to jednak śmiesznie i trochę żałośnie: w Gdańsku wystawia się znakomite „Eseje" Bairda, w Łodzi szczytem nowoczesności jest inscenizacja „Preludiów" — poematu należącego do muzyki symfonicznej w rodzaju „Tańca ognia" de Falli czy „Pinii rzymskich" Respigniego. I w tym balecie o charakterze suity nawet najpierwsze baleryny łódzkiej sceny nie pokazały nic szczególnie ciekawego — wprowadzenie zaś na scenę dzieci, które zaledwie kilka miesięcy uczą się tańca budzi może ciepłe uczucia w sercach mam, cioć i babć, ale stanowi na pewno wymowny dowód słabości baletu. Najbardziej obronną ręką z zestawienia premier wychodzą „Tańce połowieckie" choć inscenizator w co trudniejszych momentach najczęściej ucieka się do sytuacji „parterowych", które wprawdzie są efektowne, ale również są pójściem na łatwiznę.

Jeśli ta ocena baletu łódzkiego jest zbyt krytyczna, jeśli wywoła sprzeciwy i dyskusje, będę uważał swoje zadanie za spełnione. Wydaje mi się bowiem, że poziom naszego baletu jest od dłuższego czasu bardzo niski i że trzeba radzić nad jego podniesieniem. Jest to sprawa tym ważniejsza, że niebawem w otwartym Teatrze Narodowym część programu wypełniać będzie właśnie balet. Wtedy nie będzie już czasu na dyskusje.

Mając wrażenie, Panie Dyrektorze, że przeczyta Pan to wszystko jako dowód szczerej prawdziwej troski o losy Opery Łódzkiej kończę ten list.

MAREK WAWRZKIEWICZ

1. R. Leoncavallo „Pajace". Reż. E. Chaberski, scenogr. J. Rachwalski, kier. muzyczne dr Zygmunt Latoszewski.
2. P. Mascagni „Rycerskość wieśniacza". Reż. A. Majak, scenogr. Stanisław Jarocki, kier. muzyczne dr Zygmunt Latoszewski.
3. L. Delibes „Coppelia". Reż. i choreografia F. Parnell, scenogr. H. Korytowska, kier. muzyczne M. Wojciechowski.
4. F. Liszt „Preludia". Układ choreogr. F. Parnell, scenogr. Stanisław Jarocki, kier. muzyczne M. Wojciechowski.
5. A. Borodin „Tańce połowieckie" adaptacja i choreografia F. Parnell, scenogr. S. Jarocki, kier. muzyczne M. Wojciechowski.

MARIAN PIECHAL

PRÓBA portretu ŁODZI powojennej

Staraniem i nakładem Towarzystwa Przyjaciół Łodzi ukazała się wreszcie długo oczekiwana publikacja pt. *Łódź w latach 1945—1960.*

Dobrze, że wreszcie ta publikacja jest — ratuje ona reputację łodzian w opinii reszty kraju. Tak wiele się przecież mówiło o sentymencie lokalnym łodzian do swego nieponętnego wprawdzie, lecz jakże wyeksponowanego socjalnie miasta, a gdzież był tego wyraz? I oto ta publikacja daje nareszcie godną miarę tego sentymentu. Czy pełną? O tym można by podyskutować. Jednak jako pierwszą tego rodzaju i o tak szerokim zakresie publikację należy powitać z gorącą aprobatą i z należnym dla jej inicjatorów i autorów uznaniem. Chociaż, co do autorów, to nie wszystkich. Uwydatniwszy należycie zalety tej ze wszech miar pożytecznej publikacji, tym bardziej nie należy przemilczać jej wad, aby można ich było uniknąć w następnej o podobnych założeniach pracy zbiorowej.

Tę sporą księgę o rozmiarach prawie biblijnych otwiera wzruszające słowo wstępne b. prezesa Polskiej Akademii Nauk, znanego Łodzi z pierwszych lat po wyzwoleniu, prof. Tadeusza Kotarbińskiego. Wyraża w nim wdzięczność naszemu miastu za gościnę, jaką Łódź udzieliła w tym pierwszym okresie powojennym wielu dziesiątkom instytucji i wielu tysiącom ludzi, „kiedy to — jak powiada — Łódź, ledwie ochłonąwszy od ludobójczej udręki i nie przestając uprawiać zwykłych swoich form aktywności — dokładała starań, by warszawianom i całemu krajowi przez dobry dziesiątek lat zastępować Warszawę, goszcząc opiekuńczo w swych murach jej instytucje: przedsiębiorstwa, zakłady, uczelnie, redakcje, teatry, a przede wszystkim — ludzi, którzy w sercach swoich zachowają o tych latach wielkiej pomocy pamięć żywa, serdeczną i dozgonną".

Sądzę jednak, że nie tylko sama wdzięczność skłoniła prof. T. Kotarbińskiego do stwierdzenia, że „miasto Łódź posiada liczne tytuły po temu, by ściągać na siebie uwagę wszystkich, komu nie obce są sprawy naszego kraju. Wszak leży ono — dowodzi dalej — w samym niemal środku Polski, co do liczby ludności ustępuje tylko stolicy, zajmuje pierwsze miejsce jako ośrodek włókiennictwa, chlubi się wspomnieniami pionierstwa w walkach rzeszy robotniczej z wyzyskiem". Dodajmy od siebie, że istnieje także wiele innych elementów, o których jest mowa w tej księdze, dowodzących niezbicie konieczności poznania Łodzi u każdego, kto żywi szlachetne ambicje pełnej znajomości naszego kraju i jego najbardziej żywotnych problemów.

W informacji od Redakcji czytamy, że „w gronie ludzi sterujących życiem i rozwojem miasta od dawna już kiełkowała myśl, aby ześrodkować wysiłki badaczy zajmujących się problematyką łódzką i aby wspólnym wysiłkiem ludzi nauki, specjalistów z różnych dziedzin przedstawić obraz życia, przeobrażeń Łodzi w pierwszym 15-leciu Polski Ludowej". Stworzono Komitet Redakcyjny, na którego czele stanął Edward Rosset, sekretarstwo objął Kazimierz Szwemberg. Treść publikacji podzielona została na cztery zasadnicze części.

Pierwsza część pod osobną redakcją Tadeusza Szymczaka, zatytułowana „Miasto, ludzie, władze", zawiera pięć podstawowych prac informacyjnych o Łodzi, a mianowicie Romana Kaczmarka „Zarys historii Łodzi", zwięzły, treściwy i barwny, pisany piękną polszczyzną, ale tylko do dnia wyzwolenia w 1945 r., następnie Anny Dylikowej „Łódź na tle regionu", bardzo szczegółowy „opis środowiska geograficznego" naszego miasta, Edwarda Rosseta niezwykle przejrzysty z mnóstwem porównawczych tabel i zestawień cyfrowych elaborat o „Stosunkach ludnościowych" Łodzi w okresie omawianego piętnastolecia, zaś kolejne dzieje „Rad narodowych" omawiają Bronisław Graczyk i Tadeusz Szymczak, wreszcie „Życie społeczno-polityczne" w tym tak różnym, zmiennym i trudnym okresie omawia Wiesław Jażdżyński.

Co można o poszczególnych pracach tej części powiedzieć? Że zawierają maksymalną ilość niezbędnych o Łodzi informacji. Są świetnie opracowane, zwłaszcza Anny Dylikowej i Edwarda Rosseta.

Druga część publikacji pod redakcją Jana Mujżela nosi nazwę „Gospodarka" i zawiera szereg zaledwie parostronicowych szkiców informacyjnych na temat rozmaitych działów przemysłu włókienniczego, jak bawełnianego, wełnianego, czesankowego, dziewiarskiego, pończoszniczego, jedwabniczego, tkanin dekoracyjnych, wreszcie o przemyśle odzieżowym, metalowym, maszynowym, elektrotechnicznym, energetycznym, włókien sztucznych, gumowym, papierniczym, poligraficznym, skórzanym i spożywczym. Wśród nich zwracają na siebie uwagę obszerniejsze prace: Ludwika Straszewicza „Łódź jako ośrodek gospodarczy", Jana Wolczyńskiego „Budownictwo", Adama Ginsberta „Gospodarka komunalna" oraz Michała Bieńka i Bernarda Zająca „Handel".

Po części o „Mieście, ludności, władzach" i po części „Gospodarka", powinna następować część zawierająca „Sprawy społeczne", a dopiero po nich, omawiających problemy podstawowe, następować powinna część o nadbudowie czyli o „Nauce, Oświacie i Kulturze". Tymczasem wbrew naturalnemu układowi problemów „Sprawami społecznymi" zakończono tę księgę, psując dotkliwie jej logiczną kompozycję. Dlaczego? Chyba dlatego, żeby nie dawać na zakończenie dzieła najsłabszej jego części, jaką niewątpliwie stanowi część o „Nauce, Oświacie i Kulturze". Czytelnik pozwoli zatem, że pokrótce omówię wprzód „Sprawy społeczne", a na zakończenie wrócę do tej nieszczęsnej części trzeciej.

Na „Sprawy społeczne" pod redakcją Wacława Szuberta składają się następujące źródłowe, wszystkie oparte na szczegółowych zestawieniach porównawczych, tabelach cyfrowych, wykresach, mapach, planach i szkicach sytuacyjnych, artykuły i szkice informacyjne: „Struktura zatrudnienia" Kazimierza Wasilewskiego, „Mieszkalnictwo" Adama Ginsberta, „Dochody, płace i spożycie" Władysława Welfego, „Bezpieczeństwo i higiena pracy" Kazimierza Aścika i Stanisława Frankiewicza, „Służba zdrowia" Janusza Indulskiego i Zofii Tarnowskiej, „Ubezpieczenia społeczne" Wacława Szuberta, „Pomoc i opieka społeczna" Henryka Dintera oraz „Związki zawodowe" Józefa Marczaka.

Z przeglądu dotychczasowych nazwisk czytelnik może się łatwo przekonać, że wbrew zapowiedzi wstępnej od Redakcji, nie wszystkie artykuły pisane były przez „ludzi nauki", a zwłaszcza „specjalistów". Dotyczy to szczególnie owej najobszerniejszej i, niestety, najsłabszej części trzeciej, dotyczącej „Nauki, Oświaty i Kultury". Część ta zawiera aż 15 elaboratów bardzo nierównej, czasem wręcz bałamutnej wartości, podczas gdy część pierwsza tej pięknej publikacji zawiera ich zaledwie 5, a część czwarta 8. Widzimy więc, że o kulturze podobnie jak o zieleni może pisać każdy i nieskończenie. Może, ale czy powinien? Czy, na przykład, o literaturze Łodzi w ubiegłym piętnastoleciu powinien pisać akurat historyk sztuki, Henryk Anders i dziennikarz Marian Zdrojewski. Wiadomo, każdemu wolno pisać o wszystkim, a więc i o literaturze, byle napisał dobrze i zgodnie z faktami, ale nie wolno, jeżeli zdradza brak elementarnego rozeznania w przedmiocie. Panowie Anders i Zdrojewski piszą na przykład, że Julian Tuwim debiutuje „w roku 1911 w kolumnie poetyckiej „Gazety Łódzkiej". Skąd to wzięli? W roku 1911 nie było w Łodzi żadnej „Gazety Łódzkiej", a tym samym żadnej w niej „kolumny poetyckiej". Następują dalsze bałamutne rewelacje, że Mieczysław Jastrun jest „z pochodzenia" łodzianinem, że Mieczysław Braun należał do „Meteora", że Zofia Nałkowska „współpracowała" również z „Kwadrygą", że z grupą „Prądów" związani byli dwaj Stanisławowie, niejaki Górniak i Rachalewski. Właśnie mam przed sobą, gdy to piszę, cztery (wszystkie) numery „Prądów" i nie dostrzegam w nich żadnego Górniaka, ani tym bardziej Rachalewskiego, który był orientacji mocno prawicowej i zwalczał „Prądy" jako właśnie mocno lewicowe. Pomieszanie dat, hierarchii spraw i kolejności zdarzeń nieprawdopodobne. Obok grup i czasopism „Skamandra", „Kwadrygi", „Meteora", „Prądów" i „Wymiarów" wymienia się z równym akcentem ważności podobne nic nie znaczące efemerydy jak „Tańczący ogień", „Piąte Koło", „Kłąp" itp. Informuje się, nie wiadomo po co, że „debiuty łodzian — J. Waleńczyka, Z. Nienackiego i N. Szczepańskiej — ukazały się w Warszawie". No to co z tego? Podobnie jak i z tego, że „również Rada Narodowa rozpisała konkurs na powieść o Łodzi".

Ciekawy jest stosunek obu autorów do Oddziału Łódzkiego Związku Literatów Polskich, który przecież tak poważną rolę odegrał w życiu kulturalnym naszego miasta za ubiegłe 15 lat. Zdają się go prawie nie dostrzegać. Wspominają o nim zaledwie dwa razy: raz z okazji, że w roku 1945 liczył aż 60 członków, a drugi raz, że „liczy obecnie 43 członków i wykazuje tendencje rozwojową". Wprawdzie jest jeszcze wzmianka o „Zarządzie Oddziału", który „zaczyna wydawać „Łódź Literacką", ale zapomniano o reszcie działalności łódzkiego ZLP. O tym, że Oddział Łódzki ZLP wydał w ciągu 15-lecia kilka jednodniówek prozy i poezji, że dzięki jego staraniom powstała nie tylko „Łódź Literacka", ale także „Kronika" i wreszcie Wydawnictwo Łódzkie. Zapomnieli, że Wydawnictwo Łódzkie byt swój zawdzięcza także wieloletnim staraniom Oddziału Łódzkiego ZLP.

Oto jaki jest rezultat, kiedy się dyletanci biorą do nieswoich rzeczy. Czemu nie napisał tego ktoś z literatów albo historyków literatury? Im nie wypadało tego powierzyć, a ignorantom - amatorom wypadało? Na wszystkie inne tematy w tej publikacji piszą — i słusznie — specjaliści, tylko literatów uznano za niegodnych pisania o literaturze. Czyja to małoduszność spowodowała ten przykry casus?

Na szczęście kilka innych prac ratuje tę rozdętą nad miarę, a niezbyt udaną część publikacji. Wyróżniłbym tutaj rzetelny szkic informacyjny o nauce w Łodzi Jana i Zygmunta Dylików, następnie o „Muzealnictwie i ochronie zabytków" Konrada Jażdżewskiego, „Kinematografii" Bolesława W. Lewickiego, a zwłaszcza „Oświacie" Wiesława Jażdżyńskiego. Jest to chyba pierwsza tak zwięzła i rzeczowa próba bilansu powojennej działalności oświatowej w Łodzi, wysiłku władz i nauczycielstwa, niezwykłych osiągnięć, a także jeszcze i braków w dziedzinie akcji szkoleniowej. Tylko jednego nie mogę wybaczyć autorowi, że międzywojenne Gimnazjum Miejskie w Łodzi — moje Gimnazjum — nazwał „Tuwimowskim". Jako żywo Tuwim nie miał z tą sławną w dwudziestoleciu uczelnią łódzką nic wspólnego. Wreszcie dodać jeszcze należy, że do części „Nauka — Oświata — Kultura" zaliczono również Polski Związek Wędkarzy, „istniejący — jak nas informuje Maria Niemyska-Hessenowa — od roku 1950, skupia on 12.500 członków, w tym w Łodzi — 3.600. Wędkarzami są zarówno profesorowie wyższych uczelni, jak i ludzie z najniższym wykształceniem, jednak przeważają robotnicy". Dodajmy wobec tego od siebie, że wśród tych 3.600 wędkarzy łódzkich jest także jeden literat, mianowicie Igor Sikirycki.

W sumie piękna i pożyteczna książka, ta „Łódź w latach 1945—1960". Można się z niej wiele dowiedzieć o naszym mieście, o niejednym głęboko zamyśleć, z niejednego także uśmiechnąć, a nawet pośmiać i wyśmiać, wiele rzeczy można podziwiać, zwłaszcza gdy się ogląda liczne, choć nie zawsze stosowne i najtrafniej dobrane ilustracje, tudzież zdjęcia. Jako pierwsza po ostatniej wojnie próba portretu naszego miasta — raczej udana. Korekta i adiustacja często szwankuje, ale za to strona graficzna opracowana przez Zdzisława Głowackiego godna jest osobnego wyróżnienia. Ambicją każdego łódzkiego patrioty powinno być, ażeby te niecodzienna księga, a właściwie album - informator, o jego rodzinnym mieście, mieć na swa osobistą i samoswoją własność.

ANDRZEJ OSTOJA

KURS ŚMIERCI

Pewnej nocy cała Komenda Dzielnicowa MO Łódź-Bałuty została postawiona na nogi wiadomością o dokonanej zbrodni przy ul. Szczecińskiej 91. Wszyscy żywo komentowali niezwykły i nieprawdopodobny zbieg okoliczności, który pozwolił na ujęcie sprawców na gorącym uczynku i na natychmiastowe osadzenie ich w karetce więziennej! Najstarsi oficerowie milicji nie pamiętali podobnego zdarzenia, ani nawet o takim fakcie nie słyszeli.

A oto relacja plut. Stefana S., kierowcy Komendy Powiatowej MO w Łęczycy:

— W dniu 1. X. 1962 roku wyjechałem z Łęczycy samochodem-więźniarką, celem przewiezienia umysłowo chorej kobiety z więzienia do szpitala „Kochanówka". Razem ze mną jechał kpr. Józef O. Przejechaliśmy przez Łódź i skierowaliśmy się w stronę Kochanówka. Jadąc ulicą Szczecińską zauważyliśmy „Warszawę". Stało ona na światłach postojowych na środku szosy. Gdyby samochód ten stał prawidłowo, nie zwrócilibyśmy na niego uwagi i pojechalibyśmy prawdopodobnie dalej. Zauważyłem, że przed autem stoi jakiś mężczyzna. Podjechałem powoli do „Warszawy" i zatrzymałem się. Wtedy drugi mężczyzna, siedzący na miejscu kierowcy powiedział: „Chyba wysiadł mi silnik". Mężczyźni ci wydali mi się podejrzani.

— Dlaczego ludzie ci wydali się wam podejrzani? — spytał przesłuchujący.

Plutonowy S. uśmiechnął się.

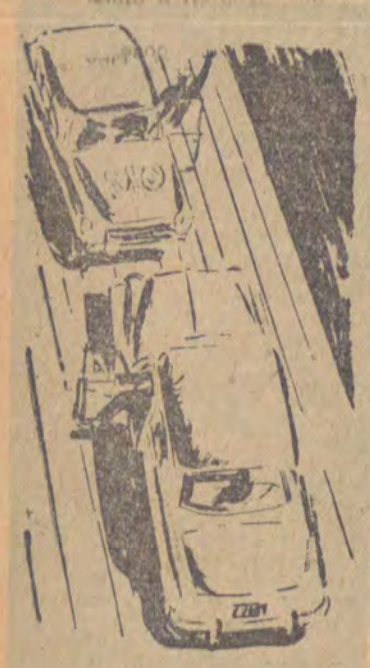

— No cóż, to jest związane chyba z naszym zawodem. To jest ten właśnie „szósty zmysł"...

— A więc kiedy powziąłem jakieś pierwsze, niejasne zresztą podejrzenia — kontynuował plutonowy — poprosiłem kaprala O., aby dał mi latarkę, a następnie, siedząc w swoim samochodzie oświetliłem „Warszawę". Zauważyłem, że jest to taksówka zarobkowa. Skierowałem światło do wnętrza wozu i wówczas zobaczyłem, że na tylnym siedzeniu leży jakiś człowiek z głową owiniętą szmatami. Człowiek ten drgał i odniosłem wrażenie, iż ma koszulę poplamioną krwią w okolicach brzucha. Wtedy błyskawicznie we dwójkę wyskoczyliśmy z samochodu i dopadliśmy do taksówki. W tym czasie mężczyzna stojący obok „Warszawy" zniknął mi raptem z oczu, zaś mężczyzna siedzący obok kierownicy otworzył drzwi samochodu i wówczas samoczynnie zapaliło się w taksówce światło. Zauważyłem wtedy, że wnętrze wozu jest całe zbryzgane krwią. Wydobyłem natychmiast pistolet i zarepetowałem. Usłyszałem, że kapral O. robi to samo. Nie zdążyłem jeszcze krzyknąć „ręce do góry", kiedy mężczyzna siedzący za kierownicą sam podniósł ręce i powiedział: „Panowie, nie strzelajcie! Ja się poddaję!", a następnie przesunął się na drugą stronę siedzenia. Upewniłem się, że kapral O. z bronią gotową do strzału cały czas mnie ubezpiecza, a następnie kazałem mężczyźnie wyjść z samochodu. Poleciłem mu trzymać ręce nad głową i uprzedziłem, że w razie oporu będę strzelał. Podprowadziłem go pod więźniarkę i przeprowadziłem pobieżną rewizję, jednakże niczego niebezpiecznego nie znalazłem. Mężczyzna ten krzyknął głośno: „Rysiek!", jednakże kazałem mu milczeć, a następnie zamknąłem go w więźniarce. Dopiero wówczas poszliśmy szukać drugiego bandyty.

Wiedzieliśmy, gdzie go szukać, gdyż kapral O. w tym czasie, kiedy ja zatrzymywałem pierwszego mężczyznę, obserwował jak drugi osobnik ukrył się w rowie. Istotnie, znaleźliśmy go w rowie obok drogi w odległości około 20 metrów od samochodu. Leżał twarzą do ziemi z rękoma wyciągniętymi do przodu, głowę posypał sobie zerwaną trawą. Postąpiliśmy z nim tak samo jak z pierwszym. W czasie rewizji znalazłem u niego nóż fiński z futerałem oraz drewnianą cygarniczkę w kształcie nagiej kobiety. Umieściliśmy ich w więźniarce, wygasiliśmy w samochodach wszystkie światła i jakiś czas obserwowaliśmy i obchodziliśmy teren w poszukiwaniu ewentualnych dalszych bandytów; gdyż mogła zachodzić obawa napadu w celu odbicia zatrzymanych, a nas było tylko dwóch. Potem dopiero zajrzeliśmy do środka taksówki. Mężczyzna leżący na tylnym siedzeniu na głowę miał zaciągniętą własną koszulę i marynarkę, głowa była tak omotana, że nie było jej widać. Cała koszula i marynarka były nasiąknięte krwią. Zaczęliśmy ostrożnie odwijać głowę. W tym czasie człowiek ten począł krzyczeć: „Nie zabijajcie mnie! Zlitujcie się nade mną! Kto jest? Co wy ze mną robicie?"

Powiedziałem mu, że jesteśmy funkcjonariuszami milicji, że niesiemy mu pomoc. Prosiłem, żeby się uspokoił. Po odwinięciu koszuli zobaczyliśmy jedną skorupę krwi, tak, że nie można było odróżnić rysów twarzy. Mimo to mężczyzna ten był przytomny. Powiedział, że nazywa się Józef Tłoczek, że jest taksówkarzem, że został napadnięty przez pasażerów, że bity był łomem po głowie. Narzekał na ból głowy.

W międzyczasie przejeżdżał motocyklista, którego zatrzymałem i poleciłem wezwać pogotowie. Po chwili zatrzymałem także jakiś samochód ciężarowy i poleciłem także wezwać pogotowie i milicję. Po 20 minutach przybyło pogotowie i natychmiast zabrano Tłoczka, który chwilami tracił przytomność, krzyczał i prosił lekarza, żeby go nie zabijać. Zaraz po pogotowiu nadjechały dwa radiowozy MO. Zawieźliśmy zatrzymanych do Komendy MO Łódź-Bałuty.

Kapral Józef O., funkcjonariusz Komendy Powiatowej MO w Łęczycy złożył takie same zeznania jak plutonowy S. Dodał, iż razem z bandytami wsiadł do więźniarki, aby uniemożliwić im porozumiewanie się między sobą. Zatrzymani byli zupełnie młodymi ludźmi. Ubrania mieli zbroczone krwią ofiary. Cały czas milczeli. Nie mieli zresztą co tłumaczyć. Sprawa była jasna. Tylko kiedy zatrzasnęły się za nimi stalowe drzwi więźniarki, jeden z nich mruknął:

— No to cześć. Już jesteśmy w więzieniu. Szybko.

To była prawda.

c.d.n.

Z treści następnych numerów Czytelnicy dowiedzą się, w jaki sposób dokonano napadu na Józefa Tłoczka.

Już za tydzień dalszy ciąg „Kursu śmierci".

Z notatnika prokuratora

Fot.: E. Kudaj

JERZY WILMAŃSKI

MASZERUJE WOJSKO...

Wiemy oczywiście od dawna, że slogan „wojsko — z ludem" nie jest pustym zawołaniem, ale doprawdy zdumienie ogarnia, kiedy oficerowie dowództwa Śląskiego Okręgu Wojskowego zaczynają na poparcie tego faktu sypać jak z rękawa liczbami. Publicystyka liczb nie lubi, czytelnik także nie bardzo. Prezentowanie odpowiednich tabelek jest dość nudną metodą informacji, spróbujmy zatem obejść się bez nich.

Wojsko jest ogromną, samodzielną instytucją. Ma własne szkoły, ba, wyższe uczelnie. Ma własną prasę, wydawnictwa, własne placówki naukowe, własne zakłady produkcyjne... Nasza kadra oficerska należy bez wątpienia do czołówki europejskiej, jeśli chodzi o wykształcenie. Co czwarty oficer ma za sobą studia wyższe, a niemal już wszyscy średnie. Wiadomo też, że dla wielu „poborowych" wojsko jest czymś w rodzaju szkoły konkretnego zawodu. Przychodzi łazik, wychodzi szofer, traktorzysta, mechanik, elektrotechnik i co tylko chcecie.

Lecz wojskowe uroczystości i rocznice to przecież święto dla całego społeczeństwa.

Mam oczywiście na myśli przede wszystkim tegoroczne obchody XX-lecia Wojska Polskiego. Program tych obchodów jest niezmiernie rozciągnięty w czasie. Nie zresztą dziwnego. Pierwsza uroczysta data to 8 maja. Dwadzieścia lat temu w wyniku porozumienia między rządem Związku Radzieckiego a Związkiem Patriotów Polskich rozpoczęto formowanie pierwszej Polskiej Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Druga pomnikowa data to 13 października. Data wszystkim znana, data bitwy pod Lenino, gdzie polski żołnierz rozpoczął swój zwycięski szlak bojowy.

Te daty, te wspomnienia — to już prawie historia. Uczą się o nich dzieci w szkołach, powstają na ten temat w gabinetach historyków opasłe maszynopisy. Świetny pisarz Stanisław Zieliński pisze: „Słuchając sprawozdania z jakiejś uroczystości dosłownie struchlałem. Usłyszałem bowiem: „Na salę wchodzą weterani 1939 r. A więc to już tak... Przecież to było tak niedawno!"

Do historycznej rocznicy wojsko przygotowuje się z całą starannością i powagą. Niech więc nikogo nie zdziwi, że w ramach obchodu obok sesji naukowej poświęconej 100 rocznicy Powstania Styczniowego sam tylko Śląski Okręg Wojskowy urządzi 10 tysięcy spotkań z (tak! tak!) weteranami drugiej wojny światowej, przygotowuje kilkanaście wystaw zapoznających społeczeństwo z nowoczesnym sprzętem wojskowym, sporządza w naszym kraju ewidencję pomników męczeństwa... Już niedługo w każdym województwie z inicjatywy Frontu Jedności Narodu powstaną komitety obchodu XX rocznicy WP — planuje się tysiące imprez popularyzatorskich...

W ramach obchodów wewnątrzwojskowych rzecz wygląda jeszcze bardziej imponująco. Nie wiem czy „cywila" te sprawy akurat zainteresują, ale sądzę, że nieco miejsca warto im poświęcić. Otóż chyba najciekawszym przedsięwzięciem jest ogłoszony przez Dowództwo Okręgu wspólnie z redakcją „Żołnierza Ludu" konkurs na opowiadanie z okresu wojny. Poza tym planuje się zebranie materiału wspomnieniowego od żołnierzy-osadników na Ziemiach Zachodnich. I tu ciekawostka. Jest w woj. wrocławskim wioska Platerowo, w której osiedlił się w roku 1946 cały zdemobilizowany korpus kobiecy. Jakiż to wspaniały temat, niepowtarzalny nie tylko na reportaż czy opowiadanie, ale wręcz na dużą powieść! Sam ogromnie byłem ciekawy, jak sobie kobiety poradziły.

Od tego najtrudniejszego, pierwszego, pionierskiego okresu zagospodarowywania odzyskanych ziem, zaczyna się odrębny rozdział w historii Wojska Polskiego. Rozdział, który społeczeństwo zainteresuje chyba najbardziej. Mieszczą się tu zielone amfibie ratujące dobytek powodzian, mieszczą się żołnierskie dłonie ratujące zagrożone plony, budujące nowe mosty — słowem pomoc i współpraca wojska z ludnością cywilną. Wszędzie, gdzie człowiek cierpi, walczy z żywiołem, pojawia się żołnierz, jako przyjaciel niosący pomoc.

I tutaj trudno formułować opinie nie poparte żadną liczbą. Ogółem zatem prace społeczne żołnierzy Śląskiego Okręgu Wojskowego, oraz prace na rzecz gospodarki narodowej w jednym tylko roku 1962 zyskały wartość 42 milionów 896 tysięcy złotych. To bardzo dużo, ale oczywiście nie wszystko.

W znanym każdemu z historii Głogowie żołnierze naszego okręgu wybudowali Szkołę Tysiąclecia, której koszt zamyka się sumą prawie siedmiu milionów złotych. We Wrocławiu natomiast wojsko buduje wielki kompleks budynków, w których mieścić się będą Zasadnicza Szkoła Samochodowa, Technikum Samochodowe oraz internat dla 880 uczniów. Koszt (bagatela) 30 milionów.

Nie na tym zresztą koniec. Nie sposób jednak wymieniać w nieskończoność dziesiątki zbudowanych przez wojsko mostów, kilometry nowych dróg, kilometry torów, setki hektarów zmeliorowanych pól...

Ale w końcu nie wszystko można zamknąć i określić taką czy inną sumą pieniędzy. W życiu społeczeństwa liczy się również co innego. Powiedzenie, że „Wojsko Polskie to zbrojne ramię klasy robotniczej" nie oznacza tylko i wyłącznie funkcji obronnych, choć właśnie one są najważniejsze. Wojsko, które wyrosło z narodu, nie ogranicza się jedynie do funkcji czysto militarnych. Można by wyliczać setki sytuacji, w których owe „zbrojne ramię" odkłada karabin aby łopatą, siekierą, piłą — budować, nawadniać, pomagać...

Często owe „zbrojne ramię" obnażone aż po bark... czeka na strzykawkę lekarza... Żołnierze Śląskiego Okręgu Wojskowego oddali honorowo w roku ubiegłym prawie 3 tysiące litrów krwi. Wiele istnień ludzkich ocaliła żołnierska krew przelana (dosłownie) w żyły cierpiących i chorych. Wydaje mi się, że tkwi w tym jakiś symbol. Jest jakaś niepowtarzalność w stosunku panującym w krajach naszego obozu między społeczeństwem a wojskiem.

Stosunek ten wyraża się zresztą nader różnorodnie. Otóż istnieje w jednym z miast Ośrodek Badawczy Sprzętu Inżynieryjnego, gdzie konstruuje się nowe typy urządzeń oraz bada prototypy. Celowo nie użyłem objaśnienia „urządzenia wojskowe". Oburzyłby się na pewno Turoszów, gdzie pracują „wojskowe" przenośniki do taśmociągów, oburzyłaby się kopalnia Pątnów, gdzie pracują „wojskowe" agregaty wieriniczce...

„Lud z wojskiem — wojsko z ludem" — stary slogan, ludzie nie lubią sloganów, a jednak za tym hasłem kryje się zawsze żywa treść, kryją się tysięczne dowody tej nierozerwalnej spójni, jaka panuje między człowiekiem w zielonym mundurze, a człowiekiem w kombinezonie.

Zmieniło się oblicze naszego wojska. Zmieniło się nie tylko w stosunku do okresu przedwojennego — to oczywiste, ale zmieniło się w ostatnich latach i zmienia się nadal. Dziś na jednego żołnierza Wojska Polskiego przypada 35 KM, co po prostu oznacza 1 samochód na 6 żołnierzy... Nie wspomnę już o zawrotnej sile ognia naszych jednostek bojowych. Dziś powyżej 50 proc. poborowych posiada wykształcenie wyższe niż podstawowe, dziś 30 proc. poborowych to członkowie organizacji społeczno-politycznych. Gdzież zostały za nami czasy otumanionych, przestraszonych rekrutów podpisujących się trzema krzyżykami? Gdzież zostały czasy bezmyślnego drylu? To już także historia niezbyt chlubna co prawda, ale na pewno bezpowrotna.

Ludowe Wojsko Polskie wkracza w swe drugie XX-lecie z ogromnym dorobkiem wychowawczym, z nowoczesnym sprzętem i nowoczesnym człowiekiem. I jednego, i drugiego mogą nam zazdrościć inne armie świata.

CO w terenie?

Po blisko pięć lat trwających targach i namysłach, władze terenowe wyraziły zgodę na odbudowę zabytkowego zespołu synagog w Piotrkowie Trybunalskim. O „mały figiel" poddano by rozbiórce budynki, które należą do nielicznych przykładów tego typu architektury w naszym województwie. Po odbudowie i adaptacji znajdzie tam pomieszczenie Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna.

●

W PGR woj. łódzkiego zatrudnionych jest 231 pracowników młodocianych do lat 18 i 2.033 pracowników do lat 35. Liczba pracowników w wieku do lat 18, nie posiadających pełnego wykształcenia podstawowego wynosi 18%, a pracowników do lat 35 — ponad 58%. W tej chwili na różnego rodzaju kursach uzupełnia wykształcenie podstawowe 17 osób przed 18 rokiem życia i 163 przed 35 rokiem życia... Sytuacja jest co najmniej niepokojąca, panowie dyrektorzy PGR!

●

Liczba zabytków w naszym województwie stale wzbogaca się o nowe odkrycia. Na przykład niedawno zidentyfikowano dwa klasycystyczne lamusy i park romantyczny z końca wieku XVIII w Lututowie (Wieluńskie), które otrzymają orzeczenie konserwatorskie. Katalog zabytków województwa stale się rozrasta.

●

17 lutego odbędą się w Radomsku uroczyste obchody z okazji XX Rocznicy ZWM. Wydział Kultury Prez. WRN przygotowuje tam wystawę obrazującą tradycje ZWM na terenie naszego województwa.

— A z czego pochodzi, że ruta wyrosła, lilia zakwitła, dziewictwo odzyskane? Z błogosławieństwa bożego. A czy to nie było na świecie podobnie? I w cerkwi mówią, i ksiądz opowiada, jak anioł z nieba zstąpił na ziemię do niewiasty. I stało się jej według słowa bożego.

— Już za te słowa bluźniercze kara cię czeka. Anioł nie anioł, czart nie czart, co mi do tego, choćby nawet w cerkwi mówił!. Ale ty męża zabiłaś, a tego nie wolno nawet dla anioła. Mężobójczyni, męża katowa. Jak trudno mi ścierpieć, że jeszcze żyjesz.

— To niech się dzieje, co się ma dziać!

— Będzie się dziać. Wiesz, jaka kara na żonę, która męża zabiła?

— Nie o karze myślałam, myślałam o nagrodzie.

— Nie zwlekajmy. Co bracie?

— Nie zwlekajmy. Ale mnie ten anioł czy czart nie może wyjść z głowy. Ja bym go szukał.

Mówiąc to, zwrócił się w stronę Seraba, ciągle stojącego przy płocie, i przyglądał mu się podejrzliwie.

— A ja bym tego smerda, bartodzieja, wziął na spytki.

— To przecież ktoś z podłego rodu — zaznaczyła Bratowa Starsza, jakby chciała dodać, że takich podejrzeń na żonę wielmoży rzucać nie można.

— Kaleka, bez ręki — poparła ją Młodsza.

— Gdy niegodne żony dopuszczają się zabójstwa dzielnych mężów-rycerzy, byle pachoł, smerd lub niewolny, może być dla nich „aniołem", lub „czartem" — upierał się Młodszy Brat.

— Daj spokój, panie mężu — z pewnym oburzeniem sprzeciwiła się żona. — Że jedna wyrodna, nie obwiniaj wszystkich.

— Spełnijcie, co najważniejsze!

— Nie zwlekajcie z tą „dziewicą".

— Skończmy. Surowe są prawa mądrych ojców. Wydaję wyrok: na padlinę! — orzekł Starszy Brat.

— Na padlinę!

— Na padlinę!

Strwożonymi szeptami przyjęli wszyscy straszny wyrok. Tylko gospodza stała z dumnie podniesioną głową, jakby do jej świadomości nie doszło znaczenie tych słów: na padlinę!

— Zbieraj się! — zawołał Starszy.

— Jestem gotowa. Dokąd?

— Tam, w bór.

— Pani, spokojna, w swoim zakresie rozkazodawcza, skinęła na Wilgę:

— Przynieś mi z domu pas.

— Gospodze, który?

— Złoty. Złoty pas.

Wilga przyniosła pas i opasała nim Gospodzę.

Starszy Brat zarządził:

— Białogłowy niech tu zostaną. Nie dla nich widok.

Młodszy Brat nadal podrażniony był obecnością Seraba:

— A ja bym tego smerda-bartodzieja też zabrał.

— Zostaw kalekę — sprzeciwiły się panie.

— Zostaw — postanowił Starszy. — Skończmy z nią. Dalej, w bór.

Gospodza lekkim, żwawym krokiem pierwsza postępowała ku wrotom. Przy płocie stał Serab. Widziała go, ale — opanowana — nie spojrzała na niego otwarcie.

3.

Z dworzyszcza wybiegła Wilga. Panie zaczęły ją pytać o obiad, o warzę, bo pewnie wkrótce wrócą rycerze z boru. Uspokoiła je dziewka: strawa będzie gotowa za chwilę, właśnie do warza się groch, i mięso także już — już.

— Nie mogę ustać przy garnkach i ogniu. Ciągle mi w głowie to, co się stało. Już moja Gospodza padliną, już jej okatrupioną głoweńkę ucięli, już w dole. To już ostatnia nowina.

— Po czym żeś to poznała?

— Pobiegłam do ogródka, do mogiły-grzędy. Skończył się dziw. Minęły uroki. Zwiędło i zeschło wszystko, co nagle wyrosło. Obróciło się w proch, w perzynę. Ruta, lilie. Tylko co były zielone, kwitnące, i już ani śladu. W mgnieniu oka sczezły. Wiatr nagły wionął, zakręcił się strala, porwał prochy, wirem prysnął i uszedł. Nie zostało ani krzty. Goła ziemia na mogile.

— Pomście stało się zadość — rzekła Starsza.

— Nieboszczyk pan może spokojnie spać w mogile — dodała Młodsza — i obcować z druhami-rycerzami w niebie. Pomódlmy się na jego grobie.

Poszły do ogródka. Wilga szeptała do siebie w zadumie:

— Skończyło się. Pomsta zapadła. Czy to już wszystko? A co z „nim" będzie? Oby go dola zła nie dosięgła! Boję się. A miód mnie oddał, nie jej, pełne wiaderko.

Od obory nadbiegł Koniuch:

— No, dziewka, już się odmieniło. Po koniach widać. Już im się zadość stało. Oto nowina.

— Wielka mi nowina! — wzruszyła ramionami.

Koniuch nie zważał na jej obojętność, wywodził dalej z zapałem:

— Jak to konie wiedzą, jak czują! Poweselały. Już się nie chmurzą, nie biją kopytami o ziemię, nie grzebią dołów. Ślepia im pojaśniały. A młodsze, jak to źrebaki, już nawet figlują. Przechodzi im. Tylko ta klaczka, Czarna, gospodzinowa kochanka, nadal posępna. Jeszcze jej mało? Jeszcze się czegoś domaga? Co by to miało znaczyć? Nie wiesz, dziewko?

— Nic nie znaczy. Głupia kobyła.

— Nie mów tak. Konie niegłupie, konie mądre. Coś one czują, wiedzą, więcej niż ludzie. Oto, i psiarz idzie, rozweselony. Co tam psiarzu, w psiarni się dzieje?

— Dobrze się dzieje. Wróciła psia ochota. Odeszła ich smętnica. Już nie wietrzą, nie niuchają, nie skuczą. Poweselały. A młodsze, jak to szczeniaki, figlują. Tylko ten jeden, chart najmilejszy gospodzina, nadal zły i posępny. Czegoś mu mało. Co by to miało znaczyć?

— Psie figle — zlekceważył Koniuch. — Nic nie znaczy. Gdyby to koń — o! to coś zwiastuje. Ale pies?

— Nie wiadomo kto mądrzejszy, koń czy pies — upierał się Psiarz.

— Wiadomo, wiadomo, nie ma co przypominać.

Nie obchodziły Wilgi spory służebników. Teraz dumała już tylko o jednym: co to z „nim" będzie?

— A gdzieże jest „ten" — zapytała — Serab?

— W stodole.

— Ukrył się?

— Nie. Klęczy na boisku i modli się, jak w kościele.

— Modli się. O, to do niego podobne — zastanowiła się Wilga.

— Modli się — rozważał Koniuch. — Może za umarłych, za zabitych. Za Gospodzina, za Gospodzinę. Może za grzechy się kaja.

— On nie ma grzechów — sprzeciwiła się Wilga.

— Każdy człowiek jest grzeszny. A czy ty wiesz, co on ma na sumieniu? Koni byś się spytała. One wiedzą.

— I psy — ujął się Psiarz za „swoimi".

— O wy, koniarze i psiarze — zawołała Wilga. — Bogów robicie z koni, z psów. Ja bym wolała, żeby z człowieka zrobić Boga.

— Głupiaś — Koniuch na to. — Koń może być Bogiem, a człowiek nie. Bo koń konia nie obdziera ze skóry, koń koniowi nie ucina głowy, kobyła nie rzuca się z nożem na ogiera. Pojęłaś?

Lecz Wilga była już myślą gdzie indziej:

— A Serab ciągle w stodole. Niechże stamtąd nie wychodzi. Niech się zaszyje głęboko wśród słomy i siana.

— Kiedy już wylazł. Idzie do nas.

— Idzie. Oj, lepiej żeby nie przychodził. Jaki różowy, od tego słońca na zachodzie, czy jak? Świetliki biją mu z włosów, jak ze źródełek — tych białych i czarnych. Rękaw mu się majta jak jakie skrzydło ptasie.

Jakby przynosił „nowinę":

— Konie już się na mnię nie gniewają. Nie odwracają się, nie prychają, nie biją kopytami. Wesoło podbiegły do mnie. Szyje wyciągały i podsuwały, by je gładzić i pieścić. Rozjaśnione już konie.

— A przecie ta Czarna, gdym był koło niej przed chwilą, dumała zachmurzona, gniewna, nieswoja...

— Właśnie ona! Ona pierwsza podbiegła z cichuteńkim, lekkim rżeniem, jakby mnie przepraszała — za gniew. Łeb mi złożyła na piersi. Właśnie ona.

— Nie do wiary, aż pójdę popatrzeć.

— I ja zajrzę do psiarni.

Po ich odejściu Wilga podsunęła się do Seraba, radząc mu, prosząc go nieomal:

— Serabie, nie plątaj się tutaj. Schowaj się, ukryj, zniknij. Gospodza zabita, a nad tobą groza? Do boru, w szuwary, gdzie chcesz byle nie tu, póki czas. Bo lada chwila powrócą — te katy.

— Konie mnie uniewinniły. I psy. Cóż mi grozi?

— Co ty? Panowie rycerze to nie konie ani psy. Koń cię uniewinni, a człowiek potępi, zabije. Chroń się. A nie zapomnij o mnie. Jestem ci rada, pomogę.

Pobiegła do kuchni. Oby dwie panie wracały z ogródka. Zwróciły się do Seraba:

Dalszy ciąg na str. 10

Czy temat nieznany?

W pierwszych dniach lutego odbyła się w Łodzi z inicjatywy Zarządu Oddziału ZLP narada Zarządu z przedstawicielami Ministerstwa Obrony Narodowej z pułkownikiem St. Kormanem, kierownikiem Wydziału Kultury MON na czele. Na naradzie przedyskutowano zasady współpracy pisarzy łódzkich z wojskiem. Poruszono szereg spraw natury organizacyjnej, między innymi mówiono o opiece literatów nad świetlicami i bibliotekami, o akcji odczytowej, o możliwościach druku prac literackich w czasopismach wojskowych itp. Była to wstępna narada, która przyniosła wiele cennych wypowiedzi zarówno spośród wojskowych jak i pisarzy i która, miejmy nadzieję, pozwoli na wysunięcie dalszych praktycznych kroków.

Oczywiście, tę inicjatywę łódzkich pisarzy należy pokwitować z uznaniem. Zagadnień na naradzie wyłoniło się wiele i nie sposób je w tym miejscu chociażby zasygnalizować. Wszakże jedno wydaje mi się godne podkreślenia, a mianowicie coraz szersze zainteresowanie się tematem: wojsko. Oczywiście, nie jest to temat nowy. I nienowe zainteresowania. Nowe jest tylko ujęcie tematu. Jeden z dyskutantów wyraził pogląd, że pisarze i publicyści, którzy biorą na warsztat temat związany z życiem wojska, mają do pokonania dużo trudności. Bowiem mało kto dzisiaj zna dobrze realia życia wojskowego i jego konflikty. Zanikają dawne rodzaje broni, nie ma już piechoty, ani malowanych ułanów, pojawiają się nowe bronie, armia się modernizuje. Ale, wypada zaznaczyć, przemiany, które zachodzą w naszym wojsku, dotyczą nie tylko techniki. Przemiany obejmują również te zagadnienia, które wiążą się z życiem narodu, jego codziennymi troskami, z jego współczesnymi ideałami. Inna jest technika, ale również i inna koncepcja wojska i inna koncepcja bohatera. Tak jak inna jest postawa współczesnego obywatela. Zniknęli z naszego krajobrazu malowani ułani, ale zniknął też ułański ideał życia. Sądzę więc, że dzisiejsza tematyka wojskowa nie ogranicza się tylko do guzików, które uruchamiają takie czy inne dźwignie. Jesteśmy świadkami i uczestnikami narodzin wzoru współczesnego żołnierza ludowego. Ten proces nie dokonuje się mechanicznie. Zaczął się on już kształtować w akcji partyzanckiej. I jeszcze wcześniej: w pierwszych strajkach robotniczych i buntach chłopskich. Studiowanie tego procesu jest rzeczą bardzo interesującą i godną uwagi.

T. P.

ŁÓDŹ [redacted] W JAKIEJ [redacted] ŻYJEMY

FELIKS BĄBOL

LUDZIE w HOTELU

— Zjazdy, panie, przyzwoite towarzystwo przyjeżdża, lekarze, prawnicy, włókiennicy, najgorsi są sportowcy, wieczorem po zawodach sprowadzają dziewczynki, a rano zostawiają puste butelki. Raz po sportowcach sprzątaliśmy połamane krzesła! A solidne są nasze krzesła, więc myśleliśmy, ile musieli się namęczyć, żeby je połamać... Fachowcy — specjaliści zostawiają najlepsze wrażenie, fachowcy i rolnicy. Tak, panie redaktorze, raz mieliśmy wycieczkę z PGR, to łóżka i pokoje tak zostawili, że sprzątaczki nie miały potem co robić — tak było po tych z PGR czysto i porządnie. A znów grupa gości z Brzezin połamała graty, potłukła telefony, narobiła na dywan. Potem wszystko zapłacili, no ale aż wstyd o tym mówić, co ludzie w hotelu wyprawiają...

Fachowiec — hotelarz łódzki mówił mi to wszystko, abym sobie nie myślał, że na pytanie: jacy są ludzie w hotelu? — można odpowiedzieć jednym zdaniem i natychmiast. Hotele, to jakby przekrój życia, ludzkich typów i charakterów. Zwłaszcza teraz, kiedy ludziska jeżdżą pięć razy więcej niż przed wojną!

To nie te czasy, gdy przyjazd gościa hotelowego w każdym wypadku wiązał się albo z tym, że powstawała w Łodzi nowa, wielka fabryka, albo rozrastało się miasto, albo dynamicznie przybywało ludzi.

W 1450 roku otworzono w Łodzi pierwszy zajazd przy ulicy Kościelnej, ale w 1850 mieliśmy już 7 zajazdów z pokojami gościnnymi. Pomyśleć — 7 zajazdów, a mieszkańców Łódź liczyła zaledwie 18.190. Potem dynamika rozwoju Łodzi (nowe fabryki, nowe branże, nowe organizacje przemysłowe) kazała zamienić zajazdy na nowoczesne hotele. W 1893 r. jest ich w Łodzi już jedenaście, a w 1900 — osiemnaście. To szczytowy moment w rozwoju hotelarstwa łódzkiego, jako funkcji łódzkiego przemysłu. Potem zaczął się upadek, aż w 1920 roku zostało w Łodzi tylko 6 hoteli. To był odpowiednik potrzeb miasta, w którym z roku na rok ograniczano produkcję, wraz z rewolucją rosyjską odpadł wielki rosyjski odbiorca Scheiblerów i Poznańskich.

Ale wróćmy do romantycznego okresu łódzkich hoteli. Grand Hotel, nie ten dzisiejszy przy Piotrkowskiej 72, ale ten pierwszy „Grand" z rogu Piotrkowskiej i Moniuszki, którego lokal w 1914 roku wydzierżawiono na mieszkania prywatne i notariuszowi, tak się ogłasza w „Przewodniku Przemysłowo-Handlowym":

„W centrum miasta, w pobliżu poczty i dworca kolejowego, pierwszorzędny hotel, nowo urządzony z wielkim komfortem, 75 pokoi numerowanych w cenie od 1 rubla. Wyborowa kuchnia, doskonałe, czyste wina. Piwo krajowe i prawdziwe pilzneńskie i monachijskie. Table d'hote o godzinie 1. Potrawy z karty o każdej porze. Połączenia telefoniczne. Omnibus hotelowy do dworca kolei. Powozy do wynajęcia. Kąpiele, wanny i tusze na miejscu".

A „Hotel Manteufel" na Zachodniej w ten sposób reklamował swe usługi:

„Hotel Manteufel i Restauracja — Józef Petrykowski w Łodzi, 40 numerów — od 1 do 5 rubli, omnibus, telefon, służba władająca wszystkimi językami. Restauracja z ogrodem na 1000 osób, z dwoma tarasami i estradą koncertową..."

Ech... Iza się kręci w oku — powie ktoś — na wspomnienie owych czasów. Ale nie wydziwiajmy za bardzo. W Grandzie czy Polonii i dziś portier zamówi ci taksówkę, gdy rano pędzisz na dworzec (niestety — nie ma w hotelu własnych omnibusów), w Grandzie i dziś porozumiesz się w obcym języku, może wybór potraw jest nieco mniejszy, niż za czasów Manteufla i Grandu z rogu Moniuszki, ale za to życie w hotelu o ile bujniejsze!

* * *

Bardzo przystojna, młoda kobieta zaimponowała w recepcji wszystkim. Na pytanie o zawód podała: „wicedyrektor kopalni w Katowicach" i zajęła apartament. Miała dokumenty w porządku i łatwo jej było grać wielką damę, która w ludowej Polsce dochrapała się wysokiego stanowiska. Ale cóż? Trzeba chyba worek soli zjeść, by rozpoznać człowieka w hotelu. Ta elegancka młoda dama jednego dnia przyjęła w swym pokoju czternastu mężczyzn... Okazało się, że przyjechała do Łodzi do „pracy", a w recepcji nikt się na tym nie połapał. Wyproszono ją więc, a do innych hoteli poszedł za nią hotelowy wilczy list. Więc szybko Łódź opuściła.

Bo hotel — choć na krótko — stwarza dla wielu ludzi miraż izolacji od społeczeństwa, poczucie samodzielności i bezpieczeństwa. Jakby na ironię chyba milicja tak często zmuszona jest zaglądać do hotelu. I osławione w swych zwykłych środowiskach prostytutki czują się w obcym mieście lepiej i pewniej. Ale służba hotelowa również czuwa. W „Polonii" taka właśnie młoda i zarabiająca „miłością" na życie kobieta przemknęła przez hall, że zanim

Dalszy ciąg na str. 10

Dalszy ciąg ze str. 9

— A ty kto? Bartodziej czy nie?

— Pątnictwo ślubowałem do Ziemi Świętej. Już wczoraj miałem odejść. Urok czy dur mi jakiś przeszkodził. Spóźniłem się o jeden dzień, o „ten" dzień.

— A ktoś ty taki?

Wyznał Serab, że istotnie z bartodziejów słowieńskich pochodził, którzy na granicy Italii, niedaleko Wenecji, w borach osiedli. Że u mnichów przebywał i do eremu się sposobił, ale na polecenie opata jako skryba handlowy do kupców weneckich jadących do Kijowa został przydzielony. I opowiedział, jak zachorował i tu przez kupców opuszczony pozostał.

— Odmieniec jakiś z ciebie. Przez co to? Co to takiego?

— Bóg mnie napiętnował, Wasza Miłość. Taka jego wola. Lecz nie wiem dlaczego.

— Od dawna?

— Jedni mówią, że od urodzenia. Inni, że od tej chwili, gdy mi rękę ucięto.

— Kiedy ci rękę ucięto? Za co?

— Bóg chciał, że z innej gliny zostałem ulepiony, z innego nasienia zakiełkowałem.

— Jakże to?

— Widać to i po oczach, bo każde z innego świata. I po włosach, co rosną odmiennymi kępkami na ludzki śmiech i zdziwienie. A najbardziej poznać to po ręce. Sześć palców. I w tej, co ucięta, także było sześć. Więc już w żywocie matki Bóg mnie napiętnował odmiennością. Ludzie gorszyli się, mówiąc, że to nieludzkie, niedobre, złowróżbne. Aż pomór przyszedł, gdy byłem jeszcze chłopcem. Ktoś orzekł, że to nieszczęście powstało z powodu moich rąk, od sześciu palców. Uwierzono. Porwał mnie tłum. Usiekli mi rękę. I z drugą miało być to samo. Szczęściem mnich dobiegł, wyrwał mnie z rąk wściekłych ludzi. Ocalała ręka, nie wiem — na dolę czy niedolę. I taki zostałem po dzisiejszy dzień — jedno ręki a sześciopalcy.

A potem i to jeszcze dodał:

— Nie mam tej ręki, a tak jakbym ją miał. Ciągle mnie boli. Chociaż jej nie mam od tylu lat.

Wzbudził w nich białogłowskie współczucie.

— Mam maść wyborną od królewskiego medyka — rzekła jedna.

— I u mnie w sepecie balsam zamorski, od Arabów — dodała druga.

— Nie pomoże ani maść ani balsam, bo to bolenie z duszy pochodzi.

— A pątnictwo, myślisz, pomoże?

— Wierzę w dobroć Boga. Pragne błagać o łaskę u Grobu Zbawiciela.

W tym czasie nadbiegli z obór Koniuch i Psiarz, wołając:

— Jadą. Jadą. Panowie rycerze wracają.

I Wilga wybiegła z domu z tym samym okrzykiem:

— Jadą. Już jadą.

Białogłowy, pomne o obowiązkach, troszczą się o to, co najważniejsze w tej chwili:

— Warza gotowa?

— O, jeszcze jaka — Wilga pewna siebie. — Ceber mięsa. Groch. Rzepa. Bary ła piwa. I miód. Jak to na stypę. Dużo a dobrze.

Poszeptały między sobą i rzekły z cicha do Seraba:

— Lepiej stąd odejdź, nieszczęsny bartodzieju. Nie pokazuj się panom rycerzom na oczy. Schroń się gdziekolwiek, chociażby tylko do jutra. Rozzłoszczeni, rozjuszeni. Posądzają cię. Nie czekaj na pierwszą strzałę. Jutro cię wyprosimy.

— Bóg zapłać Waszym Miłościom za dobre słowo i serce. Niewinny jestem. Nie będę się ukrywał. Bez woli Boga nic mi się nie stanie. Przyłączył się do Koniucha i Psiarza i stanął z nimi u płotu.

Ku wracającym rycerzom podbiegły małżonki, zdawałoby się, troskliwe, czułe, nieomal stęsknione. Ot, współczujące szczebioty to jednej, to drugiej.

Jaki utrudzony. Jaki spocony. Głodni. Chodźcież do stołu, boście spragnieni. Biedny. Miły mój panie.

A ku Wildze biegł gromki przykaz:

— Dziewko, stawiaj, co masz. A chyżo, a chyżo!

— Dyć stoi już ceber mięsa. I tarty groch — pełna donica i pieczona rzepa w opałce. Baryła zimnego piwa z piwnicy. Konewka pitnego miodu.

— Więc dajcie jeść a pić co rychlej — wołał Starszy Brat. — Zziajaliśmy się jak psy, a żreć nam się chce jak wilkom na przedwiośniu.

— Prosim pięknie do stołu panowie mężowie.

Lecz w przejściu oko Młodszego Brata padło na

Seraba. Poprzednie podejrzenie poderwało go. Jakby nie nasycił się jeszcze pomstą. Rozeźlony widokiem, który stanął mu nagle na drodze do stołu, zakrzyknął:

— Jeszcześmy nie skończyli. A „ten" tu cudak bartodziej na sąd czeka. To chyba on ów „ptak", ów „anioł", przez którego „pobożna" jątrewka zabiła rycerskiego męża. Skończmy z nim.

Próżno chciała uspokoić go żona:

— Miły, kochany, zostaw to na potem. Bo warza wystygnie.

I Starszy Brat był niechętny:

— Głodniśmy. Co będzie my marudzić z tym smerdem.

Ale Młodszy się uparł:

— Co za marudzenie. Dwa słowa — i chlast. Już.

— To dalej. Jak chlast, to chlast — zgodził się Starszy. — Ej, ty, smerd czy bartodzieja, zbliż się i przyznaj się. Przez ciebie pani zabiła pana?

Serab odrzekł spokojnie:

— Miłościwi panowie, słuchajcie i sądźcie sprawiedliwie. Nie ukryłem się i nie uciekłem, chociaż mogłem, gdyż nie zawiniłem. Nie wiedziałem, nie pomagałem, nie współdziałałem.

— Nie wiedziałeś, ale teraz wiesz. O ciebie?

— Teraz wiem, że o mnie, a przedtem nie wiedziałem.

— Że przez ciebie, z twojego powodu.

— Bez mojej wiedzy.

— Dla ciebie.

— Nie dla mnie, bom tego nie chciał ani przed tym, ani po tym.

Starszy brat, dbały o sprawiedliwość, podumał chwilę i tak osądził krótko a mądrze, jak mu się wydawało:

— Nieszczęsny człeku, nic to dla nas, czy chciałeś, czy nie chciałeś, wiedziałeś czy nie wiedziałeś. Zawiniłeś, przyczyniłeś się do zbrodni, jeśli nie myślą, słowem lub uczynkiem, to tym, żeś przebywał tutaj, że od ciebie szło złe powietrze, przez które dokonała się zbrodnia. Nie zabiłeś, a tak jakbyś zabił. Jesteś winien przez to, że jesteś, i że jesteś taki jaki jesteś. Bez ciebie nie byłoby zbrodni.

Młodszy Brat parł do końca:

— Słońce zachodzi i warza stygnie. Szkoda słów dalszych. Jedno tylko zostało, panie bracie: śmierć za śmierć.

— Śmierć! — wydał wyrok Starszy.

— Zmiłujcie się, panowie mężowie. Bądźcie łagodni, wspaniałomyślni, to prostak i kaleka — prosiły białogłowy.

Starszy uznał częściowo ich wstawiennictwo:

— Śmierć musi być! Damy mu śmierć łagodną. Powiesić.

— Zgoda — zawołał Młodszy — powiesić, i koniec. Bo warza stygnie, a głodniśmy jak sto wilków. Ej, wy — krzyknął na Koniucha i Psiarza — weźcie go i powieście gdzieś z boku, w oborze.

Koniuch i Psiarz stojący obok Seraba niemal skamienieli. Zdziwieni byli niepomiernie. Jakby polecenie rycerza nie doszło do ich świadomości. Psiarz aż usta gapiowato rozwarł. Zniecierpliwiony wielmoża powtórzył rozkaz. Psiarz ochłonął ze zdumienia, trącił w bok Koniucha:

— Mów.

Koniuch, zawsze odważniejszy od Psiarza, postąpił krok naprzód, schylił się w pokłonie do kolan rycerza i prosił:

— Wielmożny gospodzinie, my tego nie potrafimy. Ani ja, ani Psiarz nie umiemy zabijać ludzi. Ani nożem, ani powrozem. Myśmy nikogo nie zabili. Wielmożny gospodzinie uwolnij nas od takiego katowstwa.

Rozzłościł się wielmoża:

— O, podłe niedołęgi! Co za ludzie, którzy nie umieją zabijać! Prawda, chamy!

Ale Brat Starszy rychło znalazł sposób:

— Niech go pachoł oprawi. Hej, Łazipięta, sam tu!

Przybiegł Łazipięta i po otrzymaniu zlecenia skinął na Seraba:

— Dalej, do stryka!

Wyprowadził go za płot ku stajniom i psiarni. Serab szedł bez sprzeciwu, towarzyszyli mu Koniuch z Psiarzem.

— Teraz do michy i dzbana — wezwał Starszy Brat.

Już byli w progu, gdy od obór dały się słyszeć kwiki koni, ujadanie psów i krzyk pachoła Łazipięty.

— Co się tam dzieje!

— Może się broni, może się nie daje!

Naraz hałas ustał, słychać było tylko tętent pędzącego konia.

— Ucieka, może ucieka — zastanawiały się białogłowy.

Wbiegł Łazipięta, klnąc, wołając:

— Wciórności! Umknął. Może go dopędzę na swym koniu.

— Goń że za wiatrem — zadrwiła Wilga.

Pokazali się służebnicy — Koniuch i Psiarz. Wszyscy ich obstąpili:

— Mówcie, co się stało.

Mądrala od koni zaczął po swojemu:

— To konie sprawiły. O, konie — wiedzą, co i jak.

— I psy — upomniał się Psiarz.

— I psy też, ale konie najwięcej, konie. Wielmożni gospodzinowie, rycerze, to tak było — konie, wszystkie, naraz, wpadły z kwikiem i rżeniem na pachoła. Z zębami do niego. Zadem, kopytami na pachołakata.

— I psy też!

— Co prawda i psy też. Ale konie najwięcej. Zgłupiał pachoł. Do cna zbaraniał. Tak go obskoczyły, że ani rusz. I co się dzieje! Ta klaczka, Czarna, gospodzinowa najmilejsza, podbiegła do Seraba, łasząc się, rżąc, jakby chciała powiedzieć: „siadaj!". Skoczył na grzbiet. A ona, ta klaczka, gospodzinowa kochanka, przez płot, na drogę i w galop. Pędzi ku lasowi, ledwie już widać. Ino rękaw powiewa jak skrzydło.

— Rękaw powiewa jak skrzydło? Nie mogę dojrzeć — zmartwiła się Wilga.

— Ściemnia się. To już i rękawa nie widać. Ino kurz — objawił Koniuch.

— Ano — zgodziła się dziewka.

Na tym kończymy druk fragmentów opowiadania Stanisława Czernika pt. „Nowina".

LUDZIE w HOTELU

Dalszy ciąg ze str. 9

dyżurni się zorientowali, była już na piętrze. W pokoju, do którego prowadziły ślady, wypoczywał w najlepsze bogu ducha winien gość, ale tej kobiety nie było.

— Tu nie ma nikogo! — uparcie twierdził.

— Prostytutka ukryła się za firanką, na okiennym parapecie.

I zwykły hotelowy gość czuje się w hotelu jak w innym świecie. Działa oddalenie od rodzinnego domu i miasta, od opinii swego środowiska, dopiero tu, gdy przyjedzie na delegację, wychodzi z niego inny człowiek: zabawi się, narozrabia czasem, namota romansik. A plagą hoteli i w Łodzi i w całym świecie są libacje. Libacje i pożary. Przeważnie palą się kołdry i łóżka. Facet wraca „na dużej bani" i wali się do łóżka z papierosem w ustach. I tak zasypia. A śpi bardzo mocno. Zdarzył się ostatnio w hotelu przykry wypadek — kłęby dymu wydostawały się na korytarz, waliły przez okno na ulicę, służba hotelowa wystrzeliła z gaśnicy strumień piany, w pokoju było ciemno od dymu i mokro—ale gość spał. Z trudem go dobudzono. W sądzie dopiero okazało się jaki to porządny facet. Zapłacił parę tysięcy za szkody; jakie z jego winy poniosła miejska gospodarka komunalna.

* * *

Gdy wziąć do ręki statystykę, to okaże się, że Łódź jest najmniej gościnnym miastem w kraju, na tysiąc mieszkańców ma najmniejszą liczbę łóżek w miejskich hotelach. Jest ich w Łodzi 850, a w takim Poznaniu też tyle, choć Poznań to miasto prawie dwa razy mniejsze, a w Warszawie 3.541, choć Warszawa to miasto niecałe dwa razy większe, a we Wrocławiu — 1.012, w Krakowie — 1.035. Więc jest ścisk w łódzkich hotelach i tzw. luzy hotelowe, wszędzie na całym świecie dające się we znaki hotelarstwu — w Łodzi istnieją zaledwie w okresie paru dni świąt czy w okresie czerwca—lipca.

Miasto ratuje się kwaterami prywatnymi. To wynalazek poznański z okresu dużych potrzeb targowych, gdy nawet liczne hotele w Poznaniu nie mogły zaspokoić potrzeb. W Łodzi wynalazek się przyjął i mamy w tej chwili około 80 miejsc dla przyjezdnych — w domach na mieście. Jak powstają prywatne kwatery? Mąż „poszedł siedzieć", w domu za duży metraż — żona zgłasza pokój do dyrekcji hoteli miejskich, córka wyszła za mąż i zwolniła się izba...

Takie kwatery kosztują od 30 do 40 zł za dobę w zależności od wygód i położenia w mieście. Komisja sprawdza warunki na miejscu, zalicza do odpowiedniej kategorii, interesuje się również zapleczem moralnym kwatery. Chodzi oto, aby gościa nie okradli, by nie dostał się przypadkiem do złodziejskiej meliny czy jakiego „domku miłości". Kradzieże i płatna miłość zawsze mieszkały w hotelach. Mieszkały i mieszkają.

„Szczury" hotelowe bynajmniej nie należą do przeszłości. Milicja od czasu do czasu łapie takiego „szczura", uwalniając hotele od kradzieży. „Szczur" postępuje zazwyczaj tak: wieczorem przedstawia się gościowi w pokoju jako „ten od drugiego łóżka", a skoro świt, już go nie ma. Nie ma też portfelu gościa, często drobnych przedmiotów, zegarków, często i dywanik sprzed łóżka zginie. Do hotelu przyjeżdżają też hochsztaplerzy — cały dzień organizują w mieście jakieś ciemne interesy, wyłudzają pieniądze od naiwnych, a potem znikają.

Są i ludzie korzystający z faktu, że młody człowiek w obcym mieście czuje się osamotniony i bezradny. Ci mają bazę przeważnie w restauracjach hotelowych, pilnie myszkują wśród gości jedzących obiad czy kolację, a potem rzucają się na ofiarę. Do pewnej młodej dziewczyny z Rzeszowa, która bawiła niedawno w łódzkim hotelu, podszedł taki facet z restauracji i już od niej nie odstąpił. I ja jestem z Rzeszowa — mówił jej — no wie pani z tej i tej ulicy, czy pani nie zna Kowalskich z Rzeszowa...?" Zdobył zaufanie, a gdy dziewczyna w swej łatwowierności zaprosiła go do pokoju, usiłował dokonać na niej gwałtu. Milicja zajęła się nim w porę.

* * *

Dla tej dziewczyny z Rzeszowa hotel w Łodzi był przymusowym niejako mieszkaniem na parę dni, gdyż przyjechała do nas, aby załatwić pilne sprawy zawodowe. Dla niej samotność hotelowego pokoju nie była celem. Samotność jest celem dla wszystkich samobójców, szukających z dala od domu, rodziny i znajomych, warunków sprzyjających wykonaniu zamiaru. Decyzje rozstania się z życiem w hotelu się nie rodzą — młode i starsze kobiety ciągną nieraz z krańców Polski, by zażyć luminalu w „numerze" na rogu Kilińskiego i Narutowicza, na Traugutta czy na Piotrkowskiej. W samobójstwach popełnianych w hotelach typowy jest luminal i typowa ofiara: kobieta.

Jak uparte mogą to być decyzje, o tym mówi życie, którym samobójczynie gardzą. W „Polonii" jakiś czas mieszkała w dwuosobowym pokoju pewna młoda kobieta, mieszkała w „dwójce", gdyż nie było akurat wolnych „pojedynek", a ona chciała być sama! Ta samotność była dla niej niezbędna. Gdy nie mogła doczekać się na zwolnienie jakiejkolwiek „jedynki" w „Polonii" — przeniosła się do „Grandu" i tu właśnie któregoś dnia znaleziono ją martwą.

Od śmierci blisko do życia — zdarzył się wypadek, że gość hotelowy, młoda dziewczyna w kilka godzin po przyjeździe do Łodzi rodziła w swym pokoju. Od śmierci blisko do miłości. Nie tylko tej płatnej, siejącej zamęt w hotelach i niedocenianej przez hotelowy personel, ale i tej pięknej, godnej zachwytów i uznania. Pokoje hotelowe przesycone są jej atmosferą, zresztą dopiero po 10 wieczorem działa zakaz wprowadzania gości, a dla wielu młodych, kochających się ludzi pokój w hotelu stwarza jedyną szansę zdobycia samotności we dwójkę.

We Francji nikogo nie dziwi, że młodzi ludzie chcą się ostatecznie poznać w hotelu. u nas — nie każdy „recepcjonista" wita kochanków obojętną dobrodusznością. U nas przestrzega się przepisów. Pewien wysoki urzędnik na delegacji miał gościa. Było to jeszcze przed 10 co prawda, ale wszyscy w hotelu wiedzieli, że tym gościem dygnitarza jest pospolita i znana prostytutka. Chcieli więc uwolnić solidnego pana od wątpliwej wartości towarzystwa. Dostało się wtedy służbie, solidny pan twardo trzymał się przepisów. To jest jego znajoma i nikogo nie może obchodzić, kto go odwiedza, jeśli jeszcze nie ma godziny 22. I musieli zrezygnować ludzie ze swej szlachetnej misji.

* * *

Wydarzenia ponure i tragiczne, kryminalne i pogodne — wszystko to zmieszało się w swoisty klimat hotelu:

profesor wydaje w hotelowej restauracji przyjęcie dla swych przyjaciół z okazji ukończenia pracy naukowej,

gość wybiega z hotelu na ulicę, a na sobie ma tylko spodenki kąpielowe, bo gdy milicja będąca na jego tropie weszła do pokoju, było już za późno na uzupełnienie garderoby,

artyści filmowi kręcą film (dzieje się to w „Polonii", bo tylko w tym łódzkim hotelu jest odpowiednio stara winda pasująca do scenariusza),

jakaś para małżeńska usiłuje przemycić przez hall skradzioną w pokoju firankę, ręcznik i obrazek ze ściany, ale małżonka owinęła się tą firanką tak nieprecyzyjnie, że w recepcji od razu wydała się podejrzana,

do pokoju, w którym zgodnie z danymi recepcji, miała spać kobieta, w nocy wprowadzają współlokatorkę. Nie zapalają świateł, by nie budzić śpiącej, a dopiero rano okazało się, co może zaspanie na nocnym dyżurze — tą śpiącą współlokatorką był zupełnie obcy mężczyzna. Z trudem opanowano zdenerwowanie kobiety, która nieświadomie przeżyła tę przygodę. Wiedziała zresztą, że kawału nikt jej nie chciał zrobić — spała przecież całą noc spokojnie.

* * *

W tych wszystkich domach gościnnych w Łodzi, w których za 50 zł możesz otrzymać pokój 1-osobowy, za 40 łóżko w „dwójce", a za 25 miejsce do spania w „zbiorówce", pracuje kilkusetosobowa armia pokojówek, windziarzy, numerowych, sprzątaczek, recepcjonistów, pracowników stanowiących tzw. rezerwę (gościa nie obchodzi przecież wcale choroba jednego czy kilku pracowników hotelowych), ludzi z pralni, kotłowni czy kawiarni hotelowej. Pracuje i żyje, a opinia jest taka, że w hotelu żyć można. To fakt — z trudem znajdziecie mniejszą płynność kadr, niż w hotelach. Ludzie trzymają się roboty, choć płace przeciętne nie są za wysokie (tylko w recepcji wynoszą one od 1.600 do 2.000 zł).

Opinia jest taka: tym z recepcji to dobrze, bo ludzie patrzą na recepcję jak na taki „mikro-kwaterunek", w którym działają różne czynniki sprzyjające. I to, że w recepcji decyduje się los gościa łaknącego snu po męczącej podróży i to, że w delegacji łatwiej wydaje się pieniądze, bo nie wszystkie są własne, więc opinia mówi, że i tu w grę mogą wchodzić tzw. załączniki.

Osobiście nie wiem w ilu wypadkach ta opinia sprawdziła się już w Łodzi, co do mnie, a jeździłem swego czasu wiele po kraju, sypiałem zawsze w hotelu według taryfy czyli bez załączników.

FELIKS BĄBOL

LIST OTWARTY

(w odpowiedzi na artykuł „Show Kydryńskiego")

Popularność Lucjana Kydryńskiego doszła już do takiego szczytu, że — z pewną przesadą, oczywiście — można by podzielić społeczeństwo polskie na tych, którzy lubią Kydryńskiego i tych, którzy go nie lubią. Lecz o ile ci pierwsi nie są nigdzie zrzeszeni i występują w każdym środowisku (z młodzieżą szkolną na czele), o tyle przeciwnicy Kydryńskiego — podejrzewam — istnieją (i prosperują!) przede wszystkim w Łodzi w redakcji „Odgłosów".

Pamiętam, mniej więcej przed rokiem, bo w styczniu 1962, w tychże „Odgłosach" Jerzy Panasewicz zamieścił „Pamflet na Kydhyńskiego", w którym stwierdził dość nietaktownie, że nie widzi powodu, by ktoś miał prawo wykorzystywać swoją wadę wymowy (chodziło o gardłowe „r" Kydryńskiego) w celu robienia kariery. Ja także nie widzę powodu, aby niektórzy współredaktorzy „Odgłosów" mieli otrzymywać pieniądze („wierszówka") za dawanie w swych artykułach upustu brzydkiej wadzie — zazdrości. Zresztą można ulżyć sobie, wypluć własną zawiść tu i ówdzie, ale chyba nie w miejscach publicznych, a takimi są przecież łamy „Odgłosów".

Bo rozpatrzymy, co (i w jakiej formie!) zarzucają łódzcy publicyści Kydryńskiemu. T. Wiącek ma np. pretensje, że Kydryński dbając „o jak najbogatszą oprawę „Muzyki lekkiej, łatwej i przyjemnej" (...) dobiera do swego programu najbardziej znanych naszych piosenkarzy, co gwarantuje mu popularność audycji". Nie rozumiem, co w tym jest złego. Czyżby Kydryński zawarł z ŁOT umowę, że w „Muzyce..." będzie prezentował przede wszystkim łódzkich wykonawców? Jeśli nawet tak, to dlaczego nie łódzka TV broni swych interesów, ale dziennikarze? Zresztą, co się dziwić krakowianinowi, że nic nie wie o łódzkich piosenkarzach, skoro nawet A. Królikowski, tutejszy disc-jockey (a więc Kydryński nie jest już jedyny w Polsce z tej branży, jak nas mylnie poinformował T. Wiącek; a może on też nie dostrzega tego co łódzkie i dlatego przeoczył Królikowskiego?) nie zamieszcza nagrań takowych w nadawanej z Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia audycji „Muzyka, rytm i piosenka".

W ogóle uważam, że jeśli p. Wiącek może się wybrzydzać z powyższych powodów na Kydryńskiego, to inni przeciwnicy tegoż zaczną niedługo z patriotycznym uniesieniem wytykać sympatycznego „Lucka" jako niemalże wroga narodu i przebrzydłego kosmopolitę tylko dlatego, iż w „Rewii piosenek" demonstruje on przede wszystkim gwiazdy zagraniczne, zachodniej(!) piosenki. Tak, tak, ludzką zazdrość wszystko w oczy kole...

Kowalski i T. Wiącek mają także za złe Kydryńskiemu, że „przekształcił „Muzykę..." w swój własny program", a przecież „takie „show" są ogromnie popularne w telewizjach zachodnich. Czyżby ci panowie byli jeszcze ciągle zapatrzeni w ten (niedaleki) okres historii Polski, kiedy korzystanie z zachodnich, nawet dobrych, wzorów uważano za naganne i reakcyjne? Przecież to, że dorobiliśmy się własnego, telewizyjnego „show" jest pewnego rodzaju awansem, zeuropeizowaniem polskiej młodej telewizji.

Ponieważ mój list jest już stanowczo za długi, nie będę tu jeszcze polemizować z T. Wiąckiem na temat, czy forma w jakiej L. Kydryński prowadzi „Muzykę..." jest „pseudozbliżeniem opartym na (...) wygłupianiu się za cenę popularności", czy też bardzo przyjemna i kulturalna maniera naszego ulubionego disc-jockeya. Zaznaczę tylko, że żadnego ze zwolenników Kydryńskiego ona nie razi.

Na zakończenie chciałam się jeszcze zapytać: Czy możemy się spodziewać od redakcji „Odgłosów", której wystąpienia na łódzkim forum są w zasadzie nienaganne, że oceny następnych programów „Muzyki lekkiej, łatwej i przyjemnej" będą bardziej obiektywne?

„Miejmy nadzieję"...

GRAŻYNA RZEPECKA

TADEUSZ WIĄCEK

Oglądając HOLOUBKA

Przed obejrzeniem „Tragedii florenckiej" nie zamierzałem pisać peanu pochwalnego na cześć Gustawa Holoubka. Wokół tego aktora stworzono już aurę najwyższej klasy aktorstwa. Na jego cześć napisano już dziesiątki rozpraw krytycznych, które z reguły kończyły się tym samym stwierdzeniem — Holoubek reprezentuje szczyt nowoczesnej sztuki aktorskiej. Nie chciałem przyłączać się do tego „narodowego pienia", ale po telewizyjnej premierze „Tragedii florenckiej" nie sposób pisać o sztuce, innych aktorach (Mrozowska, Gogolewski) czy autorze (Oscar Wilde), można mówić tylko o grze Holoubka. Należy nadmienić, że talent tego aktora błyszczy zarówno w teatrze, filmie, jak i telewizji. Właśnie na tym ostatnim „polu swej działalności" udowadnia Holoubek, że jest artystą nieprzeciętnej miary. Powtórzę truizm, że w telewizji aktor pozostaje sam na sam z odbiorcą. Nie posiadając kontaktu z żywą reakcją widowni (teatr), czy możliwości zastąpienia niezbyt dobrze wygranych partii dubletem (film), aktor zmuszony jest do bezpośredniego przekazywania swego kunsztu milionowej widowni za pośrednictwem martwego, nieczułego, odkrywającego każde potknięcie oka kamery. Ale telewizja wbrew pozorom nie ogranicza inwencji aktorskiej Holoubka (czego nie można powiedzieć o wielu naszych aktorach), a przeciwnie — umożliwia wydobycie tych elementów aktorstwa, które nie mogą być w pełni odbierane na scenie czy w filmie. W teatrze aktor jest w stanie uwidocznić choćby najmniejszy gest, ale gra twarzą nie daje tu wielkiego pola do popisu. Nawet w filmie ta cecha aktorstwa nie odgrywa już tej roli, którą pełniła w okresie filmu niemego. Natomiast zbliżenie stało się podstawowym ujęciem w spektaklu telewizyjnym. O maksymalnym wykorzystaniu tego planu pamięta właśnie Gustaw Holoubek. Jego kreacje telewizyjne („Powrót", „Trio", „Idy marcowe") pozwalają na mianowanie go aktorem zbliżenia. Warto dodać, że sztuka gry twarzą, która obumarła w teatrze i filmie, odżywa na nowo właśnie w przedstawieniach telewizyjnych. Holoubek nie eksponuje ruchliwej mimiki (wydaje się być jak najdalszym od tego rodzaju gry), wybiera efekty głębsze i trudniejsze zarazem, jak zmrużenie, czy lekkie rozwarcie oczu, nieuchwytne zdawałoby się skrzywienie warg lub ściągnięcie brwi, prawie niedostrzegalne skurcze szczęk. Przymiotniki „lekki", „nieuchwytny", „niedostrzegalny" mają na celu podkreślenie, że Holoubek nie przesadza w swej grze twarzą. Ten środek wyrazu aktorskiego doprowadził do perfekcji, co pozwala stawiać go w rzędzie takich aktorów, jak Raimu czy Jouvet. Ale Holoubek nie zacieśnia rozległej gamy elementów aktorstwa tylko do gry twarzą. Nie mniej mocną jego stroną jest głos. Nie ma mowy, by aktor tej miary skłaniał się w stronę deklamacji teatralnej, bądź wymowy naturalnej charakterystycznej dla filmu. Holoubek podaje treść sztuki w sposób tak indywidualny, że niekiedy sprawia wrażenie wręcz sugestywne. Bardzo często potrafi wykorzystać pauzę, choć nigdy nie dopuszcza do przesady. Charakterystyczny timbre jego głosu przykuwa bez reszty uwagę odbierającego. Wyżej wymienione środki warsztatowe, oszczędny gest, z którego aktor nie może rezygnować, uzupełniony czasem mocną, szeroką grą rąk, składają się na znakomite, nieporównywalne u nas aktorstwo. To wszystko nie świadczy jeszcze o tym, że Holoubek jest genialnym aktorem telewizyjnym, a przecież do tego określenia zmierzam. Telewizyjność jego gry polega oprócz gry twarzą i głosem, przede wszystkim na wydobyciu wokół odtwarzanej postaci nadnaturalnego, indywidualnego, osobliwego klimatu. Tego rodzaju aurę pozwala mu wytworzyć absorbująca widzów, fascynująca osobowość. Właśnie ta osobowość sprawia, że Holoubek jest aktorem numer jeden naszej telewizji (co zresztą potwierdzili telewidzowie przyznając mu „Złotą maskę") i chyba długo jeszcze nim pozostanie.

TELEwizja

Jeszcze jeden schemat

Jakie to zaiste jest wielkie szczęście, że panowie Królikowski i Bajer z wrocławskiej telewizji, nie stali się jeszcze dotąd bożyszczami publiczności. Nie obrażę więc naszych „nastolatek", jeśli powiem, że program publicystyczny, zatytułowany „Myślące ręce" (8. II.), nie mógł się podobać i to z kilku powodów. Przede wszystkim — miał szereg poważnych usterek technicznych, które — oczywiście — można wybaczyć, gdyż „Myślące ręce" — o ile się nie mylę — są debiutem publicystycznym wrocławskiego ośrodka na antenie ogólnopolskiej, a Telewizja-Wrocław najmłodszą w Polsce. Trudno mieć stąd pretensje na przykład: o zjawianie się zbyt wczesne w kadrze osób, które powinny pokazać się dużo później, aby nie zmącić błogiego przekonania telewidza, że reportaż robiony jest na „żywo", bez sztucznej inscenizacji. Ponieważ jednak takie przypadki zdarzają się ośrodkom doświadczonym, więc ten błąd „młodości" można przeboleć z zastrzeżeniem — oby się więcej nie powtórzył.

Ale reportaż „Myślące ręce" miał usterkę o wiele poważniejszą: zabrakło w nim myślącej głowy. W katowickich programach oglądaliśmy nie raz i nie dwa zły szablon produkcyjnego reportażu. Po prostu: scenarzyści i realizatorzy wybierają sobie drogę najłatwiejszą i, wypełniają półgodzinny czas audycji oprowadzaniem telewidza po wyseksjonowanych (według własnego przekonania o ważności) stanowiskach danego zakładu pracy, pokazując telewidzowi to, co jest tylko zewnętrznymi ewenementami: ta śrubka, proszę, państwa, jest ważniejsza od tej śrubki, a ten obiekt jest bardzo proszę państwa, skomplikowany technologicznie, i dlatego praca przy nim wymaga pełnej kwalifikacji, itp. itd. W rezultacie kwestie najważniejsze: tak dla procesów produkcyjnych danego zakładu, jak i dla ludzi w nim pracujących „nie wychodzą", giną, zaś telewidz otrzymuje potężną porcję schematycznej nudy. I do katowickiego właśnie wzoru nawiązał reportaż wrocławski. Stąd — niewypał, reportaż nieudany. Słynny w całej Polsce wrocławski zakład „Elwro" sprowadzony do kiepskiego, wycinkowego schematu: kilka stanowisk roboczych, wywiady z ich pracownikami w bardzo złym, żenująco słabym stylu i poziomie oraz... nic więcej.

KOWALSKI

i odpowiedź:

Ponieważ list Pani nosi miano „Listu otwartego" czuję się w obowiązku udzielenia odpowiedzi i pewnych niezbędnych wyjaśnień. Zarzuca mi Pani, jakobym w swym artykule „Show Kydryńskiego" dawał „upust brzydkiej wadzie — zazdrości". Otóż chciałbym przypomnieć, że odkąd istnieje krytyka, zwolennicy krytykowanego tłumaczą sobie każdy atak na ich pupilów zazdrością i zawiścią krytyka. Stąd też każdy krytyk z góry skazuje się na „zgorzkniałego zazdrośnika" w oczach pewnej części czytelników i nikt nie jest w stanie tego zmienić.

Broni pani Kydryńskiego, który w/g pani wcale nie jest zobowiązany prezentować w „Muzyce..." łódzkich piosenkarzy. Przyznam, że w tym miejscu nie czuję się na siłach polemizować z Panią. Przypomnę tylko, że inne ośrodki jak Kraków czy Katowice pokazują w swoich programach rozrywkowych własnych piosenkarzy, nie potrzebując ściągać ich ze stolicy (np. „Zabawa dla amatorów" 24.I. z Katowic, „Zakalec wawelski" 23.I. z Krakowa). Dlaczego więc Łódź nie pokazuje swoich piosenkarzy? Przecież wiemy, że oni działają w naszym mieście (choćby w teatrzykach studenckich) a nawet zdobywają nagrody w ogólnopolskich konkursach (Borońska, Tomaszewska). Inny zarzut, to niedostrzeżenie przeze mnie łódzkiego disc-jockeya (jak go Pani nazywa) A. Królikowskiego. W tym wypadku różnimy się co do pojęcia — disc-jockey. Pani podciąga pod ten termin wszystkich prowadzących audycje muzyczne w Polskim Radio. Dla mnie disc-jockey to komentator radiowy nowych nagrań, prowadzący swe audycje w sposób bezpośredni i subiektywny. Takim disc-jockeyem jest dla mnie w skali ogólnokrajowej tylko L. Kydryński (przypominam, że A. Królikowski nadaje swe audycje tylko w programie lokalnym).

Dalej — uważa Pani, że wzorowany na zachodnią modłę „show" jest „awansem, zeuropeizowaniem polskiej młodej telewizji". Niestety, muszę Panią rozczarować, gdyż np. amerykańskie „show" są w większości przejawem złego smaku. Taki np. Perry Como prowadzi swój program na poziomie, którego nigdy nie życzylibyśmy sobie oglądać w naszej TV. Toteż jeśli mamy wzorować się na telewizjach zachodnich, to musimy sięgać po wzory rzeczywiście najlepsze. Wreszcie utrzymuje Pani, że forma prowadzenia programu przez „sympatycznego Lucka" (jak go Pani nazwała), jest „bardzo przyjemną i kulturalną manierą naszego ulubionego disc-jockeya". No cóż, ja będę się upierał przy swoim zdaniu, które nie jest odosobnione, o czym świadczą inne listy, przysłane do redakcji.

TADEUSZ WIĄCEK

Fot. Z. Krajewski

TAKTY i NIETAKTY

Jeżeli pominąć wstęp typu — od Adama i Ewy do socjalizmu — niedzielny program telewizji łódzkiej; „Tak ty i nietakty" należy uznać za udany. Boże ty mój, jak nas nudziła gazetowa publicystyka w TV. Naszej rodzimej — łódzkiej i nie tylko naszej! Tym razem jednak z przyjemnością oglądaliśmy publicystykę z prawdziwego zdarzenia, celną na ogół i często dowcipną, ośmieszającą nasze karnawałowe obyczaje, a więc publicystykę na czasie. Godną jest także podkreślenia jej niejako szerokość. Wszechstronne ukazanie karnawałowego szału. Zaopatrzenie, fryzjer nasz krajowy kelner, cwaniactwo pokątnych sprzedawców, typy zabawy, cała gama polskiego stosunku do wódy, mody i zakasek, a wszystko zrobione telewizyjnie, sprawnie, wartko. Można mieć pewne zastrzeżenia do niektórych dowcipów, czy powiedzonek w komentarzu. Autorów tekstów (Badziak, Dryllówna, Makowiecki, Suliborska) i twórca całości (red. Chyliński) znamy i mamy prawo wymagać.

Mamy też prawo powiedzieć, że jak się chce, to się dobrze zrobi. Obiecujemy tedy nie brać więcej pod uwagę tego rodzaju oświadczeń — nie ma ludzi, pieniędzy, wołu itd. Okazuje się bowiem, że są.

O MROZIE, PŁYTACH i ZŁEJ WOLI

Nie wszystkim chyba wiadomo, że istniał w Łodzi do niedawna swoisty klub młodzieżowy. Przedziwny to był klub. Nigdzie nie notowany. Chyba tylko w kronikach milicyjnych. Był przytułkiem dla wagarujących wyrostków obu płci. Klub gdzie można było całkiem darmo posłuchać dobrej muzyki i mowy wiązanej, od której więdną uszy. Czas chyba wyjaśnić o czym chcę pisać. Stosunkowo niedawno otwarto w Łodzi tę tak cenną i potrzebną placówkę — sklep muzyczny handlujący wyłącznie płytami. Z nowoczesnym zestawem głośników zapewniających doskonały odbiór i jak przystało na nasze czasy — samoobsługowy. Chyba tak bowiem należy rozumieć decyzję zabudowania ścian sklepu półkami zapewniającymi każdemu wolny dostęp do płyt.

Narodowa skłonność do przesady nie ominęła i tego przybytku. W mieście liczącym co najmniej 50 tysięcy melomanów przeznaczono na ich użytek lokal niewiele większy od kawalerki. Kiedy przebywa w nim 10 osób jednocześnie, poruszanie się jest prawie niemożliwe. Niemożliwe jest również przypilnowanie czy któryś z zatwardziałych melomanów nie przywłaszcza sobie państwowego mienia. Trudno bowiem trzyosobowej obsłudze upilnować nieuczciwych klientów. Niektórzy z nich znają rozkład sklepu do tego stopnia, że gdy z przyczyn naturalnych odejdzie od półek choć jedna z ekspedientek potrafią ukraść i po kilka sztuk. Skoro nie ma wolnego etatu może by chociaż zasłonić półki szybami? Estetyczniejsze to, płyty się nie kurzą i ukraść trudniej.

Na początku była mowa o klubie. Tak jest w istocie. Jakże bowiem inaczej nazwać miejsce, w którym co dzień o tej samej porze wyznaczają sobie spotkanie grupy wyrostków. Sami zresztą używają tego określenia. Czują się tu doskonale. Pewnie i bezpiecznie na tyle, że na zwróconą im przez ekspedientkę (obsługę stanowią wyłącznie kobiety) uwagę, potrafią odpowiedzieć z pełnym zażenowania obliczem: „Uważaj, malutka, żebyś nie dostała w uśmiech". Wizyty milicjantów i stanowcza postawa obsługi dały pewne rezultaty. Nie zlikwidowały jednakże wizyt hałaśliwej smarkaterii, ale ton zaczynają dyktować poważni i kulturalni melomani. Do likwidacji klubu przyczynił się także czynnik naturalny. Mróz. Wszyscy odczuwamy jego skutki — górnicy ofiarnie rąbią węgiel na 26-stopniowym mrozie, kolejarze odkopują zasypane pociągi, ale płyta to, niestety, nie węgiel ani parowóz. Kopać nie wolno, bo delikatna i krucha, na mrozie też stać nie może bo pęka. Cóż zatem zrobić kiedy temperatura w pomieszczeniu nie przekracza —4 st. C? W warzywnictwie pomyślano o niezawinionych stratach i przeznaczono parę procent na ubytki. W resorcie muzycznym zapomniano o tym. Jeżeli jeszcze na dodatek popękają płyty — buble, do których się nie zagląda (trudno przecież przeglądać co dzień ponad 50 tysięcy sztuk płyt, których od lat nikt nie kupuje) i remanent czerwcowy wykaże kilkaset pękniętych sztuk czy ktoś uwierzy, że mogło się to stać w lutym podczas mrozu? Dyrekcja ponoć robiła co leżało w jej mocy. Zakupiono służbowe kożuszki, i gazowe grzejniki. Cóż jednak z dobrych chęci, kiedy administracji domu, w którym znajduje się sklep ani w głowie dbać o tak drobną rzecz jak opatrzenie przewodów gazowych. Mróz trzyma, rury zamarzły, ekspedientki odmrażają sobie ręce, płyty pękają — wszystko czeka na przyobiecanych robotników mających naprawić uszkodzone przewody. Czekają od miesiąca. Jak dotąd na próżno.

W. ŁUSZCZYKIEWICZ

ODGŁOSY tygodnia

SYLWETKI ŁÓDZKICH AKTORÓW

TADEUSZ SABARA — dla sceny porzucił studia ekonomii i socjologii na Uniwersytecie Łódzkim. W ciągu niemal dziesięcioletniej pracy artystycznej występował na pięciu scenach teatralnych. Ostatnio gra w Teatrze Powszechnym w Łodzi. Zadebiutował tutaj rolą Evansa w „Błękitnym patrolu" za którą zdobył nagrodę na Kaliskim Festiwalu Teatralnym.

Pamiętamy go również z interesującej roli Mitcha w „Tramwaju zwanym pożądaniem". Później postać Pagatowicza w „Grubych rybach" zjednała mu uznanie publiczności i krytyki; rola sekretarza Morestana w „Idiotce" i wreszcie kreacja aktorska w „Dwunastu krzesłach" — Hipolit Worobianinow.

„Frapują mnie role — mówi mi Sabara, które dają materiał do artystycznego komponowania; wyraźna kompozycja bowiem oddala postać od weryzmu. „Leżą mi" typy ludzkie wyrzucone na margines społeczny oraz typy, które ratują własną osobowość różnymi formami ucieczki od życia.

Tekst i zdjęcia GERARD PUCIATO

CENA za członkostwo

Pamiętamy wszyscy czasy, w których do spółdzielni produkcyjnych „namawiano" chłopów nie tylko metodami perswazji. Jakie te metody dały rezultaty — lepiej nie przypominać. Obecnie mamy w województwie sto rolniczych spółdzielni produkcyjnych. W większości są to gospodarstwa dobre, w których produkcja, organizacja pracy stoją na dużo wyższym poziomie, niż w gospodarstwach chłopów indywidualnych. Dochody spółdzielców także są wysokie.

Nasuwa się więc pytanie dlaczego spółdzielnie te rozwijają się stosunkowo wolno, jeżeli chodzi o wzrost liczby członków? Przyczyny w różnych wsiach są różne. Niepoślednią rolę w zahamowaniu wzrostu liczebnego członków powodują... wewnętrzne regulaminy poszczególnych gospodarstw zespołowych.

Aby nie być gołosłownym przytaczamy jeden z przykładów. Oto w przodującej pod każdym względem spółdzielni produkcyjnej w Dąbrówce (pow. łódzki) walne zebranie członków ustaliło, że każdy nowo wstępujący do spółdzielni rolnik musi wnieść wkład gotówkowy w wysokości 10 tys. złotych.

Nie jesteśmy przeciwko wkładom członkowskim. Zdajemy sobie sprawę, że mają one ogromne znaczenie wychowawcze, że są elementem wiążącym rolnika z gospodarką zespołową. Wydaje się jednak, że w Dąbrówce „przedobrzono". No, bo ostatecznie 10 tysięcy złotych to suma, na którą nie każdy z chłopów może sobie pozwolić.

Piszemy o tej sprawie dziś, ponieważ odbywają się obecnie walne zebrania obrachunkowe w spółdzielniach. Warto, aby członkowie zastanowili się nad wysokością wkładów potrzebnych do wstąpienia do ich gospodarstwa. Wkłady te nie powinny być hamulcem w rozwoju spółdzielczości. Ostatecznie przecież państwo nasze jest zainteresowane w rozwoju socjalistycznych form gospodarki rolnej. Przejawia się to w wielu świadczeniach władzy ludowej na rzecz spółdzielców (np. ubezpieczenia społeczne, którymi objęto wszystkich członków rolniczych spółdzielni produkcyjnych). Stawianie barier przed niezamożnymi rolnikami, pragnącymi zapisać się do spółdzielni, w postaci zbyt wygórowanych wkładów, na pewno nie służy popularyzacji idei spółdzielczości produkcyjnej na wsi.

(J. w.)

BODŻCE WOJSKOWE

Na ostatniej konferencji prasowej w Dowództwie Śląskiego Okręgu Wojskowego, duże zainteresowanie przybyłych dziennikarzy wzbudziła plansza, zatytułowana: „Graficzne przedstawienie zmian w stosowaniu bodźców moralnych i represyjnych w systemie kształtowania dyscypliny".

Ten przydługi i na pierwszy rzut oka paradoksalny tytuł, kryje bardzo istotną sprawę.

Otóż w jednostkach Śląskiego Okręgu Wojskowego ilość wyróżnień żołnierzy za wzorową służbę wzrosła w roku ubiegłym w porównaniu z rokiem 1960 — blisko dwukrotnie, bo o 83 procent. W tym samym czasie ilość kar zmalała o 46 procent.

Szczególnie jaskrawo zmniejszyła się ilość wypadków karania żołnierza aresztem — aż o 65 procent.

W roku 1960 relacja ilości wyróżnień do ilości kar, miała się jak 17:1, zaś w roku 1962 — jak 60:1. Wynik tego „meczu" wskazuje więc miażdżącą przewagę wyróżnień nad karami, wskazuje też wartość metody pedagogicznej, obranej przez dzisiejszych wychowawców młodego rekruta (poborowego — jak się obecnie nazywa).

Naczelnym hasłem, jakie aktualnie (i z powodzeniem) lansuje się w wojsku, jest: „Dobry kolektyw żołnierski nie zna kary aresztu". Jak widać, dawne kapralskie metody skompromitowały się z kretesem wobec tzw. „świadomej dyscypliny".

Kto kopie nie błądzi

Archeolodzy z Łódzkiego Muzeum kopią i zazwyczaj nie błądzą. Ostatnio znajduje się u nich w opracowaniu bardzo ciekawe znalezisko. Odkrycia dokonano w Toporowie n/Wartą, w pow. wieluńskim. Zresztą w ogóle Wieluń, dziś nieco zapomniany i daleki kiedyś musiał być terenem niezwykle ożywionym jako ośrodek handlu (szlak nad Prosną) i przemysłu. Archeolodzy co jakiś czas wykopują w Wieluńskiem bardzo ciekawe rzeczy. Właśnie mgr Eleonora Kaszewska dokonała tam ciekawego odkrycia. Otóż znaleziono tam osadę z końca IV wieku n.e. Jest to tak zwana osada jamowa, co po prostu oznacza, że nasi przodkowie mieszkali w... — jakbyśmy to dziś powiedzieli — ziemiankach. Ekipa archeologów znalazła tam zespół narzędzi rolniczych — trzy żelazne radła, dwa tzw. kroje płużne — ilość dotychczas w polskich znaleziskach nie spotykaną. Ponadto napotkano w osadzie specjalny gatunek naczyń znajdowany dotychczas na terenach Ukrainy i nad Morzem Czarnym — należących do kręgu tzw. kultury czerniachowskiej.

W obecnym Toporowie, noszącym bardzo dawno nazwę Zdrganie istniał też prawdopodobnie ośrodek hutniczy. Świadczą o tym duże ilości żużlu. Ekipa odkryła również ślady tkactwa. Znaleziono bowiem aż 18 ciężarków do krosien pionowych. Wykopalisko mgr Kaszewskiej jest bardzo cennym odkryciem, bowiem z okresu IV w. naszej ery znalezisk jest b. mało, a poza tym charakter odkrycia pozwala snuć hipotezy na temat uprzemysłowienia terenów nad Wartą.

Podobnie ciekawe prace prowadzi mgr Ząbkiewicz-Koszańska, która między Kurowem a Kopydłowem odkopała grodziska, natrafiając na ceramikę z początków epoki żelaza, ceramikę należącą do tzw. „kultury łużyckiej". Znaleziska z tego okresu charakteryzują się właśnie piękną ceramiką. Stworzenie kultury łużyckiej zajmującej gdzieś około 1200 lat przed naszą erą teren prawie całej Polski przypisywane jest prasłowianom. Jej dość gwałtowny upadek spowodowany najazdami Scytów i Celtów sprawił, że każde znalezisko z tego okresu jest dla naukowców niezwykle cenne.

Nikogo zatem nie zdziwi wiadomość, że młody historyk z Wielunia mgr Tadeusz Olejnik od jakiegoś czasu zabiega o stworzenie w tym mieście muzeum. Jeśli stosunek miejscowych i wojewódzkich czynników do tego mądrego przedsięwzięcia będzie tak pełen troski i pomocy, jak stosunek naukowców z Muzeum Archeologicznego, możemy już niedługo spodziewać się otwarcia nowej placówki.

TRAGEDIE

W jednym z ostatnich numerów „Głosu Robotniczego" zaaplikowano Czytelnikowi pokaźną porcję nieszczęść i tragedii. W Wenezueli np. — napięta sytuacja, garnizony postawione w stan gotowości bojowej, w Santiago — trzęsienie ziemi, zburzone domy, ofiary w ludziach...

Między tymi informacjami, których powaga jest nie do zakwestionowania znajdujemy notkę o... nieszczęściu Barbary Lass-Kwiatkowskiej-Polańskiej. Otóż nasz kwiatuszek polski, kochany, kupił sobie odbiornik na tranzystorach. I co? Nie działa!!!

Wielbiciele! Wyślijcie co rychlej do Paryża „Kolibra", bo się nam nasze słoneczko zamartwi.

PIERWSZA ŁÓDZKA SYRENA

Istniała w Łodzi zresztą b. znana, stara firma wyrobów włókienniczych Tow. Akc. Leonarda. Nawet przez pewien czas dzisiejszy plac Niepodległości nazywano Placem Leonarda. Otóż z fabryki tej w roku 1842 rozległa się pierwsza syrena w mieście. Ludność okolicznych ulic wypłoszona świstem syreny wyległa na ulice.

— Co się stało?... Co to jest za przerażający świst?

Jedni utrzymywali, że wykoleiła się maszyna kolejowa i wdarła do miasta, inni, że pękł kocioł parowy w jakiejś fabryce, a może właśnie u Leonarda. Wszystkie oddziały podówczas konnej ochotniczej straży ogniowej przyjechały na Plac Leonarda, szukając przyczyny alarmowego gwizdu. Wówczas wyjaśniło się, że była to pierwsza syrena w mieście i że od tego dnia codziennie przed 7 rano słychać ją będzie jako sygnał do pracy, a spóźnialscy odtąd płacić będą tak zwane „sztrafy".

DZIELNA STRAŻ

Ochotnicze Straże Pożarne, to „potentat lokalowy" na wsi. Z ofiarności społeczeństwa wiejskiego, w niewielkich nawet miejscowościach, powstały remizy strażackie. Lokale te w większości stoją cały rok bezużytecznie. Tylko od czasu do czasu, straż ogniowa urządza w nich zabawy z „bufetem obficie zaopatrzonym". W wielu miejscowościach młodzież wiejska, zorganizowana w kołach ZMW, nie może przekonać dziarskich strażaków, że i ona ma prawo korzystania ze strażackich remiz. Komendanci straży traktują remizy jako swą wyłączną własność. A przecież w ich powstaniu uczestniczyła cała wieś.

Oto „kwiatek" z tej łączki. W Zrąbcu (pow. Radomsko) koło ZMW na urządzenie zabawy, przedstawienia teatralnego, czy wieczorku tanecznego wynajmowało remizę od miejscowej straży ogniowej. Za jednorazowe korzystanie z remizy młodzież płaciła Straży 100 złotych. Na początku ubiegłego roku kierownictwo miejscowej OSP doszło jednak do wniosku, że to za mało. Zażądali 200 złotych. Strażacy na prośby i zaklęcia młodzieży pozostali nieczuli. Chcecie remizy — płaćcie 200 złotych. Nie płacili. Nie korzystali.

Bez zabawy ostatecznie można żyć, ale zebranie koła gdzieś musi się odbywać. Poszli więc do komendanta — Dudka — i proszą o umożliwienie im przeprowadzenia zebrania w remizie. (Dawniej zebrania odbywały się bez przeszkód).

— Ano dobrze — mówi komendant — zebranie możecie zrobić w remizie. Zapłaćcie tylko 20 złotych i 5 złotych na papierosy dla jednego strażaka, który będzie was pilnował w czasie zebrania.

Przedstawiciele młodzieży oniemieli z wrażenia. I przewodniczący koła nie wytrzymał. „Wygarnął" komendantowi co myśli o systemie strażackiej kontroli na zebraniach młodzieżowej organizacji. Efekt — komendant zatrzasnął drzwi przed przedstawicielami młodzieży.

Dziwne to i śmieszne, gdy by nie było smutne zarazem. A może powiatowe komendy OSP raz jeszcze zwrócą uwagę podległym sobie jednostkom, że współpraca i pomoc młodzieży, to obowiązek organizacji wiejskich. Straży również. Okazja do takich rozmów nadarza się, ponieważ odbywają się obecnie roczne zebrania w jednostkach straży pożarnych.

(jw)

Redaguje Zespół * Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79 * Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— * Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy"
Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17
Zam. 412. II. 63. K-6